Świat dziewcząt



Nr. 25 50 gr.

CHCĘ WSZYSTKO UMIEC

SPRZĄTANIE

Taki już jest los nas, kobiet, że niezależnie od wybranej pracy zawodowej, niezależnie od studjów i nauki, wykonywać musimy mnóstwo czynności codziennych, szarych, nieciekawych, które jednak musi ktoś wykonać, i to wykonać *dobrze*, bo inaczej życie stanie się niemożliwe i nieznośne.

Czynności te w ogólnym zarysie podzielić musimy na trzy grupy: *sprzątanie, pranie i gotowanie.*

Ponieważ ambicją nowoczesnej dziewczyny (a więc w pierwszym rzędzie — czytelniczki „Świata Dziewcząt") jest *umieć wszystko* — rozpatrzmy pokrótce — zresztą na wyraźne żądanie naszych Korespondentek — te trzy dziedziny domowej pracy kobiecej, zaczynając od *sprzątania.*

Ma ono na celu zachowanie w mieszkaniu czystości, co jest niczem innem, jak racjonalną konserwacją posiadanego dobytku. Przestrzeganie czystości, to jest zabezpieczenie najlepszej formy używalności każdemu przedmiotowi. Dlatego czystość jest tak ważnym czynnikiem zdrowotnym w naszem życiu.

Przed rozpoczęciem pracy należy do niej przygotować się przez nałożenie *właściwego ubioru.* Najlepsza tu będzie perkalowa sukienka do prania, z krótkiemi rękawkami, chusteczka na głowie, na nogach trepki na gładkiej podeszwie. Dobrze jest nieużyteczne już rękawiczki trykotowe wciągnąć na ręce. O ile jesteśmy w sukience wełnianej, należy ją zabezpieczyć fartuchem, ale obecność tej właśnie sukienki odbierze nam poniekąd swobodę ruchów. Lepiej ją zdjąć, pozostając w samym fartuchu. Tak przygotowane uzbrajamy się we wszystkie niezbędne do sprzątania przyrządy, w ten sposób zaoszczędzamy sobie niepotrzebnego odrywania się od rozpoczętych czynności.

Różne są metody sprzątania. Jeden zaleca wykonywanie poszczególnych czynności grupami; to znaczy, współrzędne sprzątanie wszystkich pokojów, a więc: słanie łóżek wszędzie, gdzie one się znajdują, potem ścieranie kurzu, zamiatanie podłóg i t. d. Druga metoda wypowiada się za kolejnem sprzątaniem poszczególnych pokojów, a więc za przeprowadzaniem na terenie każdego z nich wszystkich czynności ze sprzątaniem związanych. My trzymamy się właśnie tej drugiej metody, bo okazało się, że zmiana czynności, wpływa dodatnio na odprężenie sforsowanych mięśni. Czynność sprzątania podzielić należy na fazy następujące: *odkurzanie, czyszczenie, trzepanie i zmywanie.* Odkurzanie polega na dokładnem i racjonalnem usunięciu kurzu, co osiągamy przez zbieranie go *zgóry nadół*, czyli od powierzchni najwyżej umieszczonych, do najniższych. Ponieważ nie chcemy wznosić tumanów kurzu przy sprzątaniu, musimy go zebrać przed zamiataniem, bowiem nawet przy zachowaniu wszelkich środków zapobiegawczych trudniej przeciwdziałać temu, by kurz opadał, niż, by się podnosił.

Ażeby uniemożliwić wnoszenie się kurzu, zastępujemy dotychczas używane suche szczotki i ścierki — *szczotkami i ścierkami zwilżonemi* wodą, nasyconemi specjalnym płynem oleistym, emulsją benzyny z terpentyną, lub zaprawą, które służą idealnie do zbierania kurzu. Ażeby dobrze pokój odkurzyć, musimy możliwie *oswobodzić go od nadmiaru mebli*, wynosząc je do sąsiedniego pokoju, czy korytarza. Pozatem unikać musimy *prądów powietrznych*, które nam zawsze kurz wnoszą. W tym celu podczas sprzątania mamy okna zamknięte, *wietrzymy* zaś pokój po kompletnem doprowadzeniu go do porządku.

Poza rozróżnianiem tych prac i zrozumieniem ich celowości, trzeba posiadać niezbędne do wykonywania ich *przyrządy* i przećwiczoną technikę.

A więc miękka różowa miotełka na długim kiju, do zamiatania dużych śmieci, szczotka knotowa na kiju do odkurzania podłóg, szufelka ze szczotką z włosia, obie opatrzone wysokiemi rączkami, do zbierania śmieci. Dalej miotełka ręczna, elastyczna trzepaczka i pendzel do mebli rzeźbionych. Szczotkę do froterki możemy w małym lokalu zastąpić suknami. Ścierki musimy posiadać co najmniej dwie knotowe do zmiany na szczotce, jedną zwilżoną wodą z mydlikiem do przedmiotów porcelanowych i szklanych, jedną z muślinu, zwilżoną płynem pytochłonnym do ścierania kurzu z przedmiotów politurowanych, oraz jedną ścierkę z materjału podobnego do zamszu dla nadania przedmiotom tym połysku.

Jeżeli przytem pamiętać będziemy, że o zachowaniu czystości w mieszkaniu decyduje bezwzględnie czystość podłogi i tej będziemy stale przestrzegać, wysiłki nasze w stosunku do otrzymanych wyników nie będą wcale takie męczące.

Jedna się jeszcze nasuwa uwaga co do kolejności wykonywanych prac przy sprzątaniu, z racji nadchodzącego okresu zimowego. Musimy palić w piecach, aby nam było ciepło, a to jest zawsze trudna robota. Palmy zatem rano przed rozpoczęciem sprzątania. Przy wybieraniu żużli i popiołu nakrywajmy wiaderko dobrze zwilżoną w wodzie ścierką, aby popiół nie unosił się w górę. Rozpalajmy ogień na oczyszczonym dobrze ruszcie, aby wskutek złego ciągu dym nie wybuchał nam na pokój. Po dokonanej czynności palenia usuńmy blachę z pozostałościami i podmiećmy rozsypane węgielki, aby nie rozgniatały się pod stopami. Wtedy dopiero rozpoczynajmy sprzątanie z całą fachowością świadomych swych zadań przyszłych pań domu.

Roztropna Pani Domu.

ANDRZEJKI ZA 5 ZŁOTYCH

Lusia K. skarży się w swoim liście, że rodzice pozwalają jej na urządzenie w tym roku „Andrzejek", ale dają jej na to 5 złotych.

„Kochana Redakcjo — pisze Lusia żałośnie — powiedz sama, czy można za 5 złotych przyjąć 10 koleżanek?"

Kochana redakcja, wezwana na rzeczoznawcę w tak ważnej sprawie, bierze ołówek, liczy, przelicza i odpowiada: można! I to jak jeszcze można!

Podajemy ci do wyboru trzy sposoby przyjęcia Twoich miłych gości (szkoda, że nie napisałaś, czy zbieracie się po południu, czy wieczorem!).

1. *Herbata, pączki kupne, cukierki.*

Koszt: 2 dk. herbaty — 40 gr., ¼ kg. cukru — 35 gr., 20 pączków — 3 zł., ¼ cukierków — 1 zł. 25 gr. Razem 5 złotych.

2. *Kakao z pianką, biszkopt domowy, herbatniki kupne.*

Koszt: kakao z pianką — 1 zł. 90 gr., biszkopt — 2 zł., herbatniki — 1 zł. Razem 4 zł. 90 gr.

3. *Herbata, kanapki, ciasteczka kruche domowe.*

Koszt: herbata i cukier — 75 gr., kanapki — 2 zł. 55 gr., ciastka — 1 zł. 70 gr. Razem 5 zł.

PRZEPISY.

Kakao z pianką.

Proporcja: 5 dk. kakao (50 gr.), 1½ lt. mleka (45 gr.), 3 jaja (30 gr.), 40 deka cukru (65 gr.). Razem 1 zł. 90 gr.

Kakao rozpuścić w szklance zimnej wody, zagotować, dodać mleka. Utrzeć do białości trzy żółtka z ¼ kg. cukru, zmieszać ostrożnie z gorącem kakao i lekko przygrzać na ogniu, żeby zgęstniało. Oddzielnie, w ostatniej chwili, ubić trzy białka na pianę, zmieszać z pozostałym cukrem. Nalewać niezupełnie pełne filiżanki i na wierzch nakładać pianę.

Biszkopt.

Proporcja: 6 jaj (60 gr.), 20 dk. — 6 łyżek — cukru (30 gr.), 15 dk. — 6 łyżek — mąki (10 gr.), 1 cytryna (15 gr.), 20 dk. marmolady (50 gr.), ¾ kg. cukru na lukier (35 gr.). Razem 2 zł.

6 żółtek utrzeć do białości z 6 łyżkami cukru, dodać trzy łyżki mąki pszennej i 3 łyżki kartoflanej, szczyptę sody, wcisnąć sok z ½ cytryny. Wymieszać ostrożnie z ubitą pianą z 6 białek, włożyć do wysmarowanej masłem formy i piec w niezbyt gorącym piecu. Wyjąć z formy, kiedy zupełnie ostygnie, przekrajać, jedną połówkę nasmarować marmoladą, złożyć i z wierzchu polukrować.

Lukier: ¼ kg. cukru zwilżyć dobrze wodą, gotować na wolnym ogniu do zgęstnienia. Gdy się zacznie ciągnąć, odstawić, wycisnąć sok z pół cytryny, utrzeć do białości i polukrować tort.

Kruche ciastka.

Proporcja: ½ kg. mąki (30 gr.), ¼ kg. masła (1 zł.), ⅛ kg. cukru (20 gr.), 2 jaja (20 gr.). Razem 1 zł. 70 gr.

Mąkę, masło, cukier i jedno jajo zagnieść na stolnicy i wyrabiać tak długo, aż się cukier rozpuści. Następnie, podsypując odrobiną mąki na stolnicy, rozwałkować cienko i wycinać kieliszkiem, szklanką albo foremkami ciasteczka, układać na blasze, smarować rozbitem jajkiem i piec w gorącym piecu. Pilnować, żeby się nie popaliły!

Kanapki.

2 bułki (60 gr.), 10 dk. masła (40 gr.), 10 dk. szynki (50 gr.), 10 deka kiełbasy (25 gr.), 10 dk. sera (25 gr.), 1 śledź (20 gr.), 2 jaja (20 gr.), 1 ogórek (15 gr.). Razem 2 zł. 55 gr.

Bułki pokrajać na cienkie plasterki, posmarować równo masłem. Ugotować 2 jaja na twardo, jedno pokrajać na plasterki, drugie drobno posiekać. Śledzia wymoczyć, obciągnąć ze skóry, pokrajać w cienkie dzwonka. Na plasterki bułki kłaść kawałeczek szynki, śledzia, trochę jajka, lub: kawałek kiełbasy, pasek jajka przybrany ogórkiem, albo: kawałek sera, dzwonko śledzia i trochę jajka lub ogórek. Najładniejsze i najsmaczniejsze są kanapki, na których jest po kilka rzeczy.

Rok I. Warszawa, dnia 20 listopada 1933 r. Nr. 25



MŁODZIEŻ A KSIĄŻKA

(Na marginesie tygodnia książki)

Współżycie młodzieży z książką jest tak ściśle, tak, rzec można, nierozłączne, że pisać o stosunku młodzieży do książki jest i trudno i łatwo. Wystarczy bowiem stwierdzenie codziennego obcowania z książką szkolną, żeby odrazu zrozumieć, jak drukowane słowo przenika w życie młodej dziewczyny, jak kształci jej pojęciowość i czem wzbogaca treść jej wrażeń i uczuć.

Codzienna szkolna książka, ten właśnie „podręcznik“ nie zawsze jednak jest uznawanym przyjacielem. Bywa przecież, że młoda dziewczyna odczuwa przemoc tej książki, narzucającej jej obowiązek wyuczenia się zadanej lekcji. Istnieje takie nieprzyjemne: „stąd — dotąd“, które przekora uczniowska usiłuje zbagatelizować, aby dać wyraz niechęci dla rygoru tych małych dawek szkolnej wiedzy. Mimo to, wiadomy kształt szkolnej książki i jej stronice, znaczone ołówkiem, trwają we wzrokowej pamięci jako cierpliwe sojuszniczki młodzieńczych lat. Wytwarza się tak bezwiedne przywiązanie do podręcznika szkolnego, poczem już na całe życie pozostanie sentyment dla barwy okładki, dla przejrzystych czcionek, dla gotowości, z jaką książka szkolna ułatwiała poznawanie wszelakich zjawisk i zagadnień.

Dopiero później, gdy jesteśmy już dorośli, zdajemy sobie sprawę, że ta niepozorna książka była bardziej zdumiewająca od czarodziejstwa bajek, bo sama, jak złoty, bajkowy klucz otwierała zamczyste drzwi życia, jak miecz zabijała smoka-niewiedzę, jak lampa Aladyna oświetlała wielki, wspaniały świat, w którym młodzi, mogliśmy się rozejrzeć, aby wczas wyznaczyć sobie drogę dążeń i zasięg przyszłej pracy.

Ten uczuciowy stosunek do książki szkolnej uświadamiamy sobie kiedyś później ,niezależnie od tego, czy w naszej pracy przydała się nam matematyka, wiersz Owidjusza, albo data koronacji Bolesława Chrobrego.

To jednak jest pewne, że młodzież przekłada nad obowiązkową książkę, a nawet nad „obowiązkową lekturę“ swobodę wyboru książki do czytania. W inny, swój własny sposób pragnie bowiem zaspokoić swoją ciekawość do spraw życia. Zmienność zainteresowań objawia się niejako — fazami. Gdy mija okres bajek, przychodzi smak na egzotyczne podróże, dalej — na zdobycze techniki. Rosnące w dziecku poczucie dzielności fizycznej i duchowej szuka niejako potwierdzenia w wysiłkach tych podróżników i rekordzistów.

Wnet jednak wzbogaca się świadomość poczuciem przynależności do odrębnej gromady ludzkiej, ujętej mianem narodu. Młodzi czytelnicy entuzjazmują się dla bohaterów przeszłości i sięgają po powieść historyczną, aby któregoś dnia zachwycić się tymi, którzy dziś tak samo świetnemi czynami, wielkością i ofiarnością podnoszą wartość narodowego zespołu.

Wreszcie dostrzega młody czytelnik także znaczenie spraw powszednich — zwyczajnego człowieka, który walczy, zwycięża, ponosi klęskę, przeżywa radości i smutki. Poznawszy tę dodatnią lub ujemną wartość jednostki w zespole, uczy się czytelnik prawdy życia. Książki te pozwalają mu rozróżnić krzywdę od winy, a kształcąc jego współczucie dla drugiego człowieka, każą mu zrozumieć cudzą dolę. Tak, te książki ukazują bliskość cudzej sprawy poto, żeby nikt nie wyłączał się z całości, nie wywyższał się, nie odwracał, nie potępiał zbyt pośpiesznie drugiego człowieka.

Zwolna jednak młody człowiek napełnia się żywą wiedzą o rzeczywistości. Do przymierzanych sobie zaznań postaci książkowych przybywają zaznania własne. Niełatwą jest bowiem rzeczą — dorastać. Nastają dnie, miesiące, nawet lata niepokoju, zwątpień, błądzeń i poszukiwań. Świat wydaje się przesłonięty mgłą, za którą przeczuwa się jakąś czyhającą wrogość. W tym ciężkim okresie młodość niekiedy nie dowierza ani przyjaźni, ani niczyjej życzliwości. Powiernikiem

i sprzymierzeńcem staje się jedynie książka. Młody czytelnik widzi, że nie jest osamotniony i że nie on sam jeden trudzi się w tym rozroście myśli i uczuć. Pozwala więc, aby go całkowicie zagarnęły przeżycia bohaterów, skoro sam czuje się nieporadny i nieznaczny wśród swojego otoczenia.

W okresie dorastania spełnia więc książka najdonioślejsze zadanie. I dlatego to cenzura dorosłych opiekunów jest wtedy tak sroga: — Tego nie czytaj — mówią — ta książka nie jest jeszcze dla ciebie. — Cóż w niej jest takiego? — spierają się młodzi chłopcy i dziewczęta — i czemże to jeszcze jesteśmy, że zakazują nam, że bronią nam wolnego wyboru? Zapewne — zakaz nie jest przyjemny, ale chodzi tu przecież o przyjaciela i powiernika, o wzajemne obcowanie z książką, niezawsze wskazaną, bo niezawsze — dobrą.

Jest jednak bez liku dobrych książek, nie zatajających prawdy przed czytelnikiem, choćby jeszcze młodym, jest tych książek tak wiele, że starczy na ten okres dorastania. W tych książkach nietylko treść, ale i artyzm zachwyci może po raz pierwszy czytelnika i da mu nowe wrażenia, nowy kształt istoty świata. Będzie tak, jakgdyby cały niepokój i wszystkie wątpliwości załagodziło i wytłumaczyło piękno.

Ogarnięty nowemi pojęciami, poderwany odmiennemi wrażeniami, czytelnik zaczyna sobie zdawać sprawę, że sam również dorasta dla tych wielkich uczuć, że jeszcze chwila, a złoży przysięgę ideałom, jeszcze krótki czas a stanie przy swoim warsztacie pracy, tak samo zdolny do spełniania obowiązków na rzecz społeczeństwa i państwa, na rzecz postępu ludzkości.

Bo czemże innem jest ksiażka, jak nie fragmentem walki o lepsze zrozumienie ludzkich spraw? Myśl, uczucie, forma wypracowują te nowe idee, które człowiek ponieść musi *w sobie* i zastosować w rzeczywistem działaniu.

Herminja Naglerowa.

ZOFJA MISZEWSKA

KSIĄŻKI NASZYCH PRABABEK

Czy były francuskie, włoskie, czy zgoła łacińskie? Czy cudnie kolorowemi inkunabułami na pergaminie pisane, czy pokrzywionym drukiem na szarym, chropawym papierze? Czy pięknie, drogocennie oprawne, schowane w gablotce, czy może wyciągnięte niespodziewanie z kurzu i zapomnienia? Stare książki, które czytały nasze pra-pra-prababki, nad któremi płakały prawdziwemi łzami wzruszenia... pomieszanemi z różem i bielidłem. Tak, bo nasze pra-pra-pra babki bardzo chciały być piękne.

Ale nie, nie wszystkie. Te najdawniejsze, mające tylko modlitewnik, były skromne, zamknięte w domu i nieciekawe książkowych mądrości. Modlitewnik miały tylko gwoli splendoru, trzymały go częstokroć do góry nogami, kiwając nad nim poważnie wymyślnemi, pięknie układanemi czepcami lub futrzanemi kołpaczkami.

Kiedy jednak przyszła moda trefionych głów, robron sutych, kiedy to zamiast ciżemek włożyły damy modne trzewiczki na wysokich obcasach, wtedy właśnie prababki (te pra-pra) postanowiły nagle poznać świat zamknięty w książce. Po pierwsze było modnie: po drugie było ciekawie; po trzecie było trochę zabronione. Trzeba bezwzględnie spróbować.

Na pierwszy ogień poszły łacińskie modlitewniki. Precz z niemi! — Pan Bóg to — le bon Dieu, do którego godzi się przemawiać jedynie po francusku, wznosząc poetycznie ku niebu podmalowane tuszem oczy.

Potem już przyszła kolej na romanse. Nie były to jeszcze ponure, krew mrożące w żyłach historje tajemniczych bohaterów, nie były to barwne, pełne werwy awantury, ale ckliwe, sentymentalne historje dwojga serc, które ani rusz nie mogły dojść do rozwiązania miłosnych konfliktów.

Zaczęło się od utworów pani de Genlis, pani Riccolini, a skończyło na Nowej Heloizie Jean, Jacques Rousseau i Cierpieniach młodego Werthera — Goethego. Te dwa tytuły są tak związane z nastrojem epoki, że odrazu, gdy je wymieniamy, czuje się zapach tamtych czasów, zapach, w którym przeważa „lawendogra", jedyny, niewątpliwy środek na wapory, wywołane literackiem wzruszeniem, oraz lawenda, i woń bladych róż, kwitnących pod oknami pani sentymentalnej.

Pani sentymentalna to nie było to samo, co femme savante z dalekiej, wielbionej przez pra-pra-pra-babki Francji. Femme savante sama chwytała za pióro, pisała madrygały i częstokroć w swoim salonie prowadziła mądre literackie rozmowy; sentymentalna pra-pra-prababka wylewała potoki łez nad przeżyciami Charlotty, pragnęła, aby jej ukochany jak Werther nosił cynamonowy frak i wybierała się do Szwajcarji, aby obejrzeć grób nieszczęsnej Heloizy. A także marzyła! Marzenie było nieodłączne od literackich zainteresowań, bo pra-prababka (ta w lokach, czy ta w pudrowanej peruczce) dziwnie żywo zespalała się z bohaterami czytanego romansu i gwałtem, koniecznie chciała takich znaleźć w życiu. Czasami jej się to udawało, częściej nie, ale wzruszenie zawsze było jednakowe, o co przecież chodziło.

Po Nowej Heloizie i Cierpieniach młodego Werthera przyszła kolej na powieści czysto polskie. Zapał do francuszczyzny bynajmniej nie opadł, ale jednak poczęto czytać trochę po polsku, za przykładem Puław, a przytem najmodniejszą książką stała się pewnego dnia Malwina, czyli Domyślność Serca, przez Marję księżnę Wirtemberską napisana. Jakże nie wziąć do ręki czegoś, co wyszło zpod pióra córki samej „Księżnej Pani", jakże nie odnaleźć w niej z radością znajomych miejscowości, imion, które o ile łatwiej wpadają w ucho, niż wszelkie zagraniczne wykrętasy.

Malwina ma szalone powodzenie, jest rozchwytywana, powoduje nowe potoki łez i nowe marzenia, a para kochanków, która nie może się odnaleźć, ani rozpoznać, staje się nowym ideałem pra-pra-prababek w pudrowanych peruczkach i szerokich robronach. Ideałowi temu sprzeniewierzyły się zczasem damy, a mianowicie wówczas, gdy zjawiła się nowa powieść Ludwika Kropińskiego — Julja i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegiem Dniestru.

Ewa Felińska świadczy, że, gdy ten utwór w pewnych salonach odczytywał sam autor, „niektóre damy dostawały spazmów, inne dochodziły do mdłości, a biada tej, któraby nie złożyła w hołdzie przynajmniej łez gorących; taka była uznana za kobietę bez serca i niegodną towarzystwa dam czułych.

Tak czule nastrojone, pudrowane prababki zastał romantyzm. Nie, wła-



Zaczytana...

ściwie nie zastał, bo nie przyszedł odrazu; poprzedził go wicher zmagań literackich, który nietylko puder z loków osypał i osuszył ckliwe łzy, wylewane nad wyimaginowanemi nieszczęściami, ale rozrzucił hen, po nieznanych drogach mdłe romanse, aby je zastąpić ponurą poezją Byrona, powieściami Walter Scott'a, utworami Sterna i Ossjana.

Pra-prababki z początku poezji się lękały. Ich naiwne, przepełnione mdłym sentymentem serca tłukły się bezradnie wobec siły expresji Byrona; ich główki, pełne jedwabnych, kolorowych marzeń, nie mogły się uporać z zagadnieniami, w których nie wszystko było gładkie, grzeczne i płyciutkie. O tem, że czytają Byrona, mówiły sobie pocichutku, w tajemnicy, jak o grzechu.

MALWINA

DOMYŚLNOŚĆ SERCA

TOM I.

W WARSZAWIE

1816.



Zamek w Chillon.

A przecież porywał je Giaur, deklamowały z przejęciem pożegnanie Child Charolda i popłakiwały dawną modą nad Więźniem Chillonu. Dlatego też, jeżeli czasem wpadnie w rękę stara, ukochana książka pra-pra-prababki, są na niej dziwne plamy.

Te plamy, to ślady łez pięknej pani, która zawsze umiała przejąć się do głębi losami bohatera romansu, a częstokroć nie umiała zgłębić prawdy swojego własnego życia.

Biedne pra-pra-prababki! Dopiero romantyzm nauczył je czuć i myśleć, dopiero romantyzm pogłębił ich naiwne duszyczki, nauczył je rozumieć słowo ideał i włożył do ręki książki, nad któremi już nie wylewały łez, ale które nauczyły je myśleć.

Zofja Miszewska.

ZOFJA KUNICKA

WESELE KASI

NOWELA

(dokończenie)

— Co mi zrobią? — odpowiada hardo Kasia i nagle przeskakuje jednym susem przez strumień, na tamtym brzegu, niedbale myje zabłocone nogi w zimnej, łaskotliwej wodzie.

Florek podaje uroczyście rękę, lekko potrząsa końcami kasinych palców, poczem puszcza je. Odprowadza dziewczynę kilka kroków dalej.

— No, cóż tam chrzestna? — pyta Kasia z uśmiechem i wyciera palce. Naturalnie, że nie będzie skubała rogu fartuszka; to już nie tamte czasy. Patrzy spokojnie i odważnie; jej oczy piwne, jej gładka, utoczona buzia, włosy odczesane na bok pachną porankiem i wiosną.

Florek zaczyna naraz mówić prędko, dużo, zająkując się w tem mnóstwie słów: dlaczego Kasia mu robi tę krzywdę? Zaco? Ojciec już dwa razy posyłali z wódką. Czy myśli, że jej kto będzie żałował śmietany do pierogów, albo i cukru? On umie stelmarkę i potrafi zarobić na wszystko, ba! i na kalosze! Oglądał też trzewiki w mieście, do ślubu; nie, nie trzewiki, ale pantofelki w sam raz na Kasię.

— Florku —odpowiada dziewczyna łagodnie, — mało to innych panien?

— Ty dla mnie jedna panna!

— Dopiero skończyłam szesnaście lat, chcę coś zobaczyć, nauczyć się.

— Nauczyć się? Czyż mało ci jeszcze? Któraż to więcej umie od ciebie?

Kasia uśmiecha się i patrzy daleko. Lasy poblękitniały, szara wieża z nich wyrasta w niebo, za Hutą jest wielki świat, a za nim ścieżka prosto do samej śmierci.

— Wypijesz wódkę? — pyta błagalnie Florek.

Kasi żal tego czerwonego, zawstydzonego chłopaka. Wydaje się jej głupi, uparty, jak dzieciak.

— Nie przysyłaj, Florku — mówi cicho; — dziś nie wypiję. Może kiedyś... na jesień.

II.

Więc przeszły pełne szelestu i brzęku dnie żniwa, pożółkły liście na drzewach, spadł śnieg. W zapusty konie ubrane w kwiaty z kolorowych bibułek powiozły Kasię do ślubu. Z Florkiem? Gdzie tam: trafił się wdowiec Kacper, który żonę pochował na Zielone Święta. Bogaty, ma pięcioro bydła, ma dwie pary pięknych koni; chociaż Kasię zabiera do swojej chałupy, ale ich grunt też pomoże obsiewać. Och! jakie dwie duże, widne stancje, jaką szafę zastanie Kasia na nowem gospodarstwie. Takiego szczęścia nie można poniewierać; napewno drugi raz się nie zdarzy. Matka, Józka, cała familja, sąsiedzi -- usta się im nie zamykały, gdy przedkładali dziewczynie to zamężcie. Góra wielkiego szczęścia, podobnego dla olbrzymiej sosnowej szafy, pomalowanej na żółto, tak na nią spadła, tak przygniotła, że się Kasia nie umiała bronić. Cóż zresztą miała powiedzieć? O tem śpiewaniu, czy o nauce, czy o kościele w Hucie? Zakrzyczą, zaśmieją; głupia, głupia, sama za rok po rękach nas całować będziesz, żeśmy dobrze radzili.

Mama nawet zapłakała: — już ja wiem, że ty mi tej krzywdy nie zrobisz na moje stare lata. Hodowałam ciebie, posyłałam do szkoły, a ileż to mi gąsek przepadło przez ten czas, że nie było pastucha?

W białej, suto układanej spódnicy, w białym kaftaniku, w koronie ze złotych kwiatuszków wychodzi Kasia z kościoła. Konie się rwą na śniegu, płozy zgrzytają na uwrociach, ludzie wyglądają z chat i zza opłotków: śliczne wesele. Z tyłu bęben huczy uparcie: niech się dzieje, co chce, on zawsze swoje. Skrzypki wyciągają melodję weselną, jak nić z kądzieli: — Oj, na leszczynie żółte orzeszki, bywajcie mi zdrowe, moje towarzyszki. Oj Łado, Łado!

— Du, du, du, du, du, du, — grzechocze nadąsany bęben: — nie uciekniesz, Kasiu, nie!

Jedzenia w bród: korowaje rumiane i białe, ubrane barwinkiem i strzyżonym papierem. Cielęciny i wieprzowego mięsa nakładziono niecki w górę, to samo pierogów. W komorze za skrzynią czekają rzędy butelek z wódką. Niczego nie brak. Panny postrojone, kawalerowie też. W chacie pełno i mokro, potajały śnieg z butów ciekmie strugami, powietrze gorące i pachnące jedzeniem, ludźmi, para bucha przez drzwi aż na ulicę.

Albo tańczą, albo jedzą. Za oknem ciśnie się ciżba tych, co nie zaproszeni, a chcą popatrzeć na zabawę. Tylko jedno okno jest puste. Wychodzi z alkierza na ogródek, gdzie pośród badyli zmarzłych malw i słoneczników nawiało stertę puszystego śniegu. Okienko patrzy w śnieg i w noc siną, rozpostartą nad białemi płachtami pól. Za chmurami świeci schowany miesiąc, obłoki pęcznieją od blasku, równinę widać daleką, pustą, niezmierzoną, od skraju wioski poprzez gołe pręty krzaków, poprzez jałowce, aż po las.

Kasia sobie w tym alkierzu przysiadła na kuferku. Jest trochę zmęczona, nieswoja, szumi jej w uszach. Całe wesele szumi jej w uszach z tupotem tańczących nóg, z okrzykami i przyśpiewkami, z rzewną muzyką, to zamaszystą.

Przez otwarte drzwi ogląda całą izbę, tłoczną i kipiącą ludźmi. Tak blisko widać, tak blisko słychać, a dzieli ich od Kasi ściana ze mgły. Jakgdyby sama stała na dworze i przez szybkę, zaniesioną szronem, spozierała, gość nieproszony, na widowisko obce i niepojęte.

Jak to dobrze, że zapomnieli o pannie młodej. Ona ich widzi wszystkich, ale niby lalki w szopce, lalki, z których każdą może nazwać po imieniu. Oto Józka cała w czerwieni, bijąca rumieńcami i w czerwonej bluzce tańczy z Kacprem. Ten młody, ogromny mężczyzna, o rużych, uklepanych włosach, o szerokiej kanciastej twarzy — to pan młody, Kasi mąż. Mąż — ale to słowo brzęczy pusto, jak pęknięty dzbanek, nic w niem niema. Taki sam, jak dziesięciu innych, chociaż jej ręce i jego dzisiaj stułą wiązali. Koleżanki: Jagunia, Nastka, Anielka kręcą się ze sobą, jak szalone, nie czekając kawalerów. Małe dzieci tkwią po kątach z szeroko otwartemi oczami: żadna siła ich do spania nie zapędzi. A przy stołach siedzi starszyzna, różne kumy popijają sobie wódkę, pogryzają pierogów, które maczają w ciepłej omaście. Jest mała, krępa Hrabina, jest lekarka Marcela, jest bogata Szaranowa. Kiwają głowami, poważne, nie im już tupotać, aż obcasy lecą. Wydały dziewczynę zamąż, zawiązały węzeł na jej losy i dumają i obradują: jakiż to koniec z tego się wyciągnie: na złe? czy na dobre? Bo nigdy niewiadomo, co komu wypadnie, czasem ugada tylko cyganka, albo worożycha, co karty zarzuca — moiściewy!

Kasia czuje, że ziębnie. Tuman przysłania oczy. Już nie ma na sobie białej, weselnej sukni, ani złotego, sztywnego wieńca na rozpuszczonych, dziewczęcych włosach.

Wszystko minęło: dzieciństwo, szkoła, ślub i życie. Jest starą kobietą, splotła ręce na brzuchu i uradza z kumami, że młodziutką córkę wydaje zamąż, chociaż ta ręce składała.

— I mnie nikt nie pytał, taka już dola — wzdycha i sięga do kieliszka. Jedna łza, jeden łyk.

Bęben łomocze zawzięcie: nie, nie, nie. To natrząsanie budzi Kasię: o! jeszcze czas. Narzuca grubą chustkę wełnianą i tylnemi drzwiami wychodzi z alkierza z chaty. Jest lekka, idzie po wierzchu zasp, nikt jej nie widzi, tylko miesiąc, który wystąpił zza chmur milczący i dobry do sekretu.

Chałupa tańczy, śpiewa, hula, pan młody z dziewczętami, z mężatkami wywija.

Panna młoda idzie przed siebie pustym gościńcem, mróz bierze i krzesze iskry na śniegu, złoty wianek się błyszczy w księżycu. Nim się spostrzegą, nim pogonią — już będzie w lesie.

Zofja Kunicka.

TWORZYMY POLSKĘ

(BIBLJOTEKA NARODOWA)

Na szerokiej, pełnej powietrza i rozmachu ulicy Rakowieckiej w Warszawie, znajduje się imponujący gmach Wyższej Szkoły Handlowej. Pewną niespodziankę sprawia ukryty za nim, śliczny, choć jeszcze niezupełnie uporządkowany, ogród, a w nim bliźniak poprzedniego — budynek, mieszczący w swej połowie zbiory Bibljoteki Narodowej.

Zabawne jest to, że (według informacji poczciwego woźnego) frontu trzeba szukać od... tyłu, a wszystko razem wygląda tak, jakby się bracia — gmachy pogniewali. Ale, bo też różnią się zupełnie charakterami: pierwszy — rozgwarzony, rojny młodzieżą, we wnętrzu swojem ruchliwy. Drugi — skupiony, poważny, zadumany nad wspomnieniami dobrej i złej przeszłości i — nad *zwycięską teraźniejszością.*

Olśniona wspaniałością klatki schodowej, jasnością, bijącą z olbrzymich okien i fornirowanych ścian i prostotą tego oryginalnie pomyślanego wnętrza, mówię do oprowadzającej mnie bibljotekarki:

— Ależ państwo mają prześliczną siedzibę!

— O, tak —uśmiecha się z pełną godności dumą — jednak nie zawsze tak było. Trudno sobie wyobrazić, ile trudności pokonać musiała nasza instytucja, zanim zdołała osiągnąć kąt, t. j. zanim w r. 1930 wynajęliśmy od W. S. H. połowę lokalu bibljotecznego. Z jakąż ulgą odetchnęliśmy, mając możność sprowadzić z... 12 miejsc nasze rozproszone dotychczas zabytki! Bo, choć Bibljoteka Narodowa oficjalnie powołana została do życia dekretem rekcyjnym (założycielskim) Prezydenta dn. 24.II.1928 — jednak myśl kontynuowania dzieła, rozpoczętego jeszcze w w. XVII przez Józefa Andrzeja Załuskiego, powstała znacznie wcześniej.

— Nie można było przecież — mówi dalej ze wzrastającym zapałem — nie można było dać zaginąć bez echa wielkim zasługom Czackich, Działyńskich, Czartoryskich, Ossolińskich, którzy po utracie niepodległości wśród wandalskiej gospodarki północnego zaborcy, walczyli napewno z większemi na tem polu trudnościami, niż my! Np. rok 1795 przyniósł Bibljotece Publ. im. Załuskich krzywdę, którą nietylko bibljotekarz odczuć może. Na pośpieszny rozkaz Katarzyny II-giej zbiory zostają przewiezione do Petersburga. Tam część druków przekazano Akademji Medyczenej, a większość złożono wśród kompletnego zaniedbania — do pak!

Obecna Bibljoteka Narodowa składa się ze zbiorów Bibljoteki Raperswilskiej, Bibljoteki Batignolskiej, rewindykatów, dokumentów różnego pochodzenia, oraz zbiorów z Bibljoteki Wilanowskiej.

Bibljoteka Raperswilska, która chwilowo pozostaje w depozycie Centralnej Bibljoteki Wojskowej, powstała za inicjatywą Władysława Platera w czasach Wielkiej Emigracji w Szwajcarji. Korzystając z serdecznej gościny Szwajcarów kolekcjonował w Raperswilu z pietyzmem dokumenty, tyczące powstań. Niewątpliwie głęboko liberalny duch i kultura tego kraju podtrzymywała owego dzielnego i rozumnego człowieka w jego bezcennych poczynaniach.

Zachowanie zbiorów *Bibljoteki Batignolskiej* w Paryżu zawdzięczamy znowu niestrudzonemu ich opiekunowi Sewerynowi Gałęzowskiemu. Zawartość ich stanowią również pamiątki z okresu zbrojnych walk o niepodległość. To rozproszeni powstańcy przekazywali swoje prywatne, jako też wojskowe skrypty w nadziei, że — ich niemal krwią pisane — powrócą



Magazyny Bibljoteki Narodowej.

kiedyś „do jednej z głównych Bibljotek oswobodzonej Polski".

Rewindykaty, t. j. dzieła po 130-tu latach odzyskane drogą zwrotu, pochodzą przeważnie z owej nieszczęsnej Bibljoteki Załuskich, oraz ze zrabowanych klasztorów i obszernych bibljotek prywatnych. Posiadamy ich dużo, bo setki tysięcy, ale, czy można wiedzieć, ile padło ofiarą bezmyślności, złej woli, czy lenistwa?... Czy pan referendarz koronny, Józef Andrzej Załuski, zbieracz uczony i zamiłowany, mógł przewidzieć, ile krzywdy wyrządzą jego zbiorom grube ręce profanów?...

Skolekcjonowaliśmy również *najrozmaitsze dokumenty różnego pochodzenia:* druki, mapy, sztychy, listy po naszych wielkich ludziach z doby ostatniej i wcześniejsze.

A więc po Mickiewiczu, Kraszewskim, Korzeniowskim, Marji Konopnickiej.

Z rzadkości najbardziej szczycimy się *Psałterzem Florjańskim*, zakupionym w r. 1932 z klasztoru Sankt Florjan w Austrji.

O Bibljotece Wilanowskiej opowiem pani już w czasie zwiedzania: to trzeba widzieć.

— A ile egzemplarzy liczy teraz Bibljoteka Narodowa?

Przemiła moja informatorka uśmiecha się w zamyśleniu:

— Po scentralizowaniu wszystkiego w r. 1930 liczyliśmy około 400.000 tomów, prócz Bibl. Raperswilskiej, która dla braku miejsca pozostała w depozycie Centr. Bibl. Wojskowej. W tej chwili zaś nie jestem w stanie określić dokładnie.

— Czy sądzi pani, że to koniec?

— O, nie! Co chwilę dostajemy, zakupujemy, lub wymieniamy coś nowego. Współpracujemy ze *114-toma państwami!!* Właśnie teraz nie chcemy, nie wolno nam „spocząć na laurach!" Jesteśmy czynni, jesteśmy użyteczni — udostępniamy w miarę możności zbiory nasze badaczom naukowym.

Oto czytelnia, proszę pani.

W dużej, jasnej sali króluje cisza. Kilka głów pochylonych w skupieniu nad jasno-granatowemi blatami stołów. Na ścianach doskonale portrety głośnych w swej cichej mrówczej pracy działaczy na polu kulturalno-naukowem.

Koniec sali zdobi wielka waza — dar Wilanowa.

Na czubkach palców wysuwamy się na korytarzyk.

— A teraz, zanim dojdziemy do właściwych magazynów, zaprowadzę panią do sali z darami Branickich.

Wchodzimy, a ja nie mogę powstrzymać okrzyku podziwu!

Na dużym stole stare lunety i olbrzymie globusy. Dziwne wrażenie robią dwa kamienne, poczwórne(!) kałamarze, których powierzchnia wynosi niemniej niż trzydzieści pięć centymetrów kwadratowych.

Poustawiane wzdłuż ścian cenne mahoniowe półki uginają się wprost pod ciężarem woluminów wspaniale w ponsową skórę oprawnych. Błyszczą w słońcu przepiękne w swej misterności, duże, złocone inicjały.

Ciesząc się moim podziwem, bibljotekarka mówi z błyszczącemi oczami:

— O, tak, ofiarodawcy wyróżniali się dbałością o zewnętrzny wygląd książki. A mamy tu dokumenty, pochodzące nawet z XV-go stulecia.

Na szczytach półek stoją rzędem popiersia bogów i uczonych starożytności.

— A to kto? — pytam, spostrzegłszy z boku gipsowy odlew rzeźby, przedstawiającej kobietę o pięknych, zdecydowanych rysach i staroświeckiem uczesaniu.

— *To pani Aleksandrina z Potockich Augustowa Potocka.* Niezwykła, jak na owe czasy i swoje środowisko indywidualność i... emancypantka. Tak, proszę pani — emancypantka: emancypuje się bowiem ze ślepego wówczas uwielbienia dla francuszczyzny — nakazywanego przez ówczesny „bon ton" i — wzbogaca Bibljotekę obszernym działem literatury i historji polskiej. Pełna patrjotycznej inicjatywy przetwarza wkrótce sporą bibljotekę rodzinną na wspaniały księgozbiór narodowy. Z myślą o późniejszej fundacji przekazuje go też swemu siostrzeńcowi. Dziś syn jego, Adam Branicki, spełniając gorące życzenie babki, składa w darze księgozbiór na ręce Pana Prezydenta — Państwu.

Wychodzimy z sali, którą właściwie nazwaćby można salą „Pani Augustowej" i rozpoczynają się kondygnacje żelaznych, krętych schodków i labirynty wąskich a niskich korytarzyków...

W istocie znajdujemy się już w olbrzymiej, mrocznej hali — magazynie. Teraz dopiero orjentuję się, że korytarzyki powstały skutkiem poustawianych jedna za drugą blaszanych półek. Półki owe, sięgające sufitu (a można go dotknąć ręką) zabezpieczono od ognia i... kradzieży stalowemi kratami. Istnieją tu nawet specjalne „klatki" dla rzadkich a cennych zabytków. Klucze od nich ma tylko pracownik danego działu.

Wędrujemy od półki do półki.

U jakiegoś olbrzymiego tomiska zwisa... żelazny łańcuch — mniej więcej z takich, jakich używamy do drzwi w naszych mieszkaniach.

— To *katenaty*, czyli rękopisy ze średniowiecza. Uczony zakonnik musiał strzec pilnie swego dzieła, które niejednokrotnie stanowiło pracę całego jego życia. Przymocowywał tedy księgę łańcuchem do pulpitu i spokojnie szedł na pacierze... Dzieł tych posiadamy 5, a w całej Europie istnieje zaledwie kilkanaście.

Ten egzemplarz, zawierający dzieła Św. Augustyna, pochodzi z r. 1463 i jest najstarszym drukiem.

(W XV-tym wieku zjawia się druk i przynosi te oto *inkunabuły* t. j. najpierwsze prace drukowane).

To dział czasopism naukowych polskich i obcych. Najdawniejsze egzemplarze z końca XVIII w.

— A współczesne skąd pani czerpie?

— Każdy wydawca musi przysyłać jeden t. zw. „egzemplarz obowiązkowy". Od r. 1927 posiadamy wszystkie.

— Czy mogłabym obejrzeć jakieś starsze czasopismo?

— Proszę bardzo.

Wybieram na chybił-trafił... I oto na zżółkłych kartkach niewielkiego tomu widzę napis:

WANDA

tygodnik polski

Płci pięknej i Literaturze poświęcony

Drukowany w Warszawie w r. 1820.

Obok „Wspomnień Legjonów krótko zebranych" widzę powieść p. t. „Emma czyli Sąd Boski". Obok tkliwych poezyj — pouczające opisy krajobrazów, recenzje teatralne, wyjątki z zapomnianych oper, a wreszcie drobnym druczkiem dopisek: „Do Numeru dzisiejszego dołącza się rycina wystawująca Stroje Paryzkie".

Och, jakże wdzięczne supiry zachwytu wydawać musiały ówczesne dames du monde...

W bogatym dziale rękopisów spostrzegam m. in. korespondencję Marji Konopnickiej. Poprzez te literki przeziera ku mnie promień serdecznego ciepła.

Przyznaję, że jestem oszołomiona, czegóż to nie dokonano w ciągu ostatnich 3-ch lat.

— Jeszcze pracujemy nad uporządkowaniem działu grafiki, kartografji i muzykalji.

— Życzę państwu jak najlepszych rezultatów waszych wprost nieocenionych wysiłków — żegnam jak najserdeczniej moją entuzjastyczną informatorkę.

A w duszy mówię sobie z satysfakcją:

— Budujemy — „budujemy biały dom" naszej kultury! ...tworzymy Polskę...

A. G.



Kapliczka.

NA BEZDROŻACH HUCULSZCZYZNY

Idę w góry! Cóż za radosne uczucie móc zarzucić plecak na grzbiet i w ciężkich buciarach ruszyć żwawo naprzód, w nieznane. Nie wie się ani którędy prowadzi droga, ani kogo i co się spotka na szlaku swej włóczęgi. I to ma swój z niczem niezrównany urok.

Jakaś wewnętrzna niecierpliwość każe przyśpieszyć kroku. Dalej, prędzej, aby przed nocą zostawić za sobą największą ilość kilometrów, aby co rychlej znaleźć się w sercu gór, wśród tych ciekawych, tak w gruncie rzeczy egzotycznych, ludzi. Droga wije się wzdłuż Czeremoszu. Po tamtej stronie już Rumunja, choć ludzie, czyli najważniejszy składnik, nadający oblicze krajowi, są ci sami. Tu patrol straży granicznej, tam posterunki graniczerów, ale ludzie po obu stronach granicy mówią tym samym językiem, chodzą tak samo strojni i modlą się w podobnych cerkiewkach.

Sokolskie — cel niedalekich wycieczek z Kut. Cudowny, dziki zakątek. Z prawej strony olbrzymie, niemal prostopadłe skały, o czubach zmierzwionych lasem, skalne osypiska i kamieniolomy. Z lewej rwący, szumny i nieokiełznany Czeremosz... Jak śpieszy, jak się pieni na głazach! Co za obfitość, czystość i jaka barwa wód! Staniesz oto, wędrowcze, wzrok ze skał na wody przenosząc i zapominasz o tem, że kropi deszcz, a szczyty cienie swe kładą aż na przeciwległy brzeg, że zwolna nadciąga wieczór.

Kilometrami ciągnie się wieś Roztoki. Chałupki o wielkich okapach, wspartych na rzeźbionych filarkach, spoczywają na wysokiem podmurowaniu. Jedna od drugiej daleko, żyje każda odrębnem życiem. Jedno tylko jest wspólne: nędza.

Czeremosz przewala się po kamienistem dnie. Trzeba dopiero przyzwyczaić się do tego szumu, do tej melodji gór. W Roztokach prowadzą mnie nad Czeremosz, aby pokazać, jak niesforna rzeka podmywa i unosi wielkie kawały ziemi.

— Tam był jeszcze niedawno brzeg — mówi przewodnik, wskazując po przeciwnej stronie usypisko kamieni, — a teraz wszystko poszło z wodą. Zasiewy, stary sad owocowy. Z czego ci ludzie będą żyć? Zimno. Kukurydza — podstawa ich pożywienia — nie dojrzała.

Ale ludność tutejsza zaniedbana, pozostawiona samej sobie, biedna, apatyczna, czeka z założonemi rękami na dalsze postępy niszczycielskiego żywiołu. Po pamiętnej powodzi z 1927 roku nic już ich przestraszyć nie może.

Był to jakby dzień sądu ostatecznego. W nocy szalała straszliwa burza. Czarne niebo, wzdęte potwornemi chmurami, przerzynały niewidzianej dotychczas wielkości i siły błyskawice. Deszcz lał potokami. Masy wody przepełniły koryto Czeremoszu, który jak rozszalała bestja rzucił się w doliny, zalewając i niszcząc wszystko. Woda przybierała tak szybko, że ludzie uciekali tylko w bieliźnie, porzucając wszystko. Na tartaku kilku robotników usiłowało ratować sztable desek, ale wnet wypadło salwować swoje życie. Schroniwszy się na stosach desek, zostali porwani przez prąd. W obliczu śmierci krzyczeli przeraźliwie, błagając o ratunek i podobnie krzyczeli bezradni ludzie na nadbrzeżnych skałach. Wobec tego nieszczęścia, tej zupełnej ruiny, żyd — właściciel tartaku garściami rwał włosy z brody.

Do dziś dnia przy drodze za wsią Białoberezka widnieją na drzewach ślady powodzi. Nie chce się oczom wierzyć. Dotąd sięgała woda? Ile to metrów ponad normalny poziom? Pięć — osiem — dziesięć? W jednych tylko Roztokach wyłowiono kilkudziesięciu topielców.

Tak było sześć lat temu i tak może być jeszcze nieraz. Wystarczy spojrzeć na ścianę ze żwiru, kamieni i głazów przy wejściu do Uścieryk. Można rzekę ująć w kluby kamiennych ocembrowań, można niewielkim wysiłkiem zregulować jej brzeg, trzeba też zbudować dobrą drogę, a w te strony skieruje się ruch turystyczny z całej Polski. Wówczas coś na tem zarobią i miejscowi Huculi.

Nędza tu panuje wielka. Nie widzi się jej w Żabiem, Worochcie, Kosowie lub Jaremczu, ale panoszy się bezwzględnie w górach, zdala od uczęszczanych dróg. Jak to mi mówiła właścicielka karczmy w Roztokach:

— Poprostu boimy się i wstydzimy jeść w ich obecności, bo oni żyją, ja sama nie wiem z czego.

Ale Huculszczyzna jest jak szlachetny, szlifowany kamień, którego każdy wielobok ma inne oblicze. Czyż można znaleźć bardziej malowniczy obraz, gdy gromada strojnych Hucułów wysypie się w niedzielę z cerkiewki? Każdy szczegół ich ubrania jest jakby żywcem wyjęty z muzeum etnograficznego i, zda się, ma wartość tylko dekoracyjną. Te pasy grube, skórzane, szerokie na 20 i więcej centymetrów: te torby sowicie nabijane mosiądzem we wzorzyste desenie: te dziwacznego kształtu „czutry" na wódkę: te czerwone czy czarne sukienne spodnie, odwijane u dołu w szerokie na kilka dłoni „mankiety", te „kieptary", czyli kożuszki blamowane safjanem, wyszywane kolorową włóczką i mosiężnemi blaszkami: te bogato haftowane koszule i marszczone w harmonijkę cholewy butów u kobiet, przyczem nawet napiętki mają nabijane świecącemi gwoździkami



Stara cerkiewka na Huculszczyźnie.
Chata wiejska.
Na prawo: Szałas w lesie
Dzieci huculskie.
Na jarmarku.
Tak się podróżuje w tym kraju.

w esy - floresy; te przetykane srebrnemi lub złotemi nićmi „zapaski", noszone wprost na białych, samodziałowych koszulach; te baby, kurzące małe fajeczki lub zgoła nawet papierosy; te obyczaje i tańce; ta uroda kobiet i mężczyzn, to wszystko składa się na — Huculszczyznę.

Ten lud ma wrodzone zamiłowanie do piękna. Niemal każdy przedmiot codziennego użytku jest rzeźbiony, malowany, wyszywany... Znamy wszyscy huculskie kilimy, majolikę, rzeźbę w drzewie lub hafty. Trzeba jednak rozróżniać sztukę do użytku domowego, własnego od sztuki na sprzedaż. Poza strojami — nawiasem mówiąc, bardzo kosztownemi — rzadko w chacie Hucuła można spotkać te przepiękne kilimy, wazony, talerze lub inkrustowane puzderka. To dla przeciętnego górala są rzeczy niedostępne, choć umie je wykonać z przedziwnym kunsztem. Zwłaszcza w snycerstwie, które rozwija się wśród Huculów od 250 lat, ma swoich uznanych mistrzów (Dewdiuk w Kosowie, I. Grepiniak w Riczce i in.). Wyrazem tej sztuki są kapliczki i krzyże przydrożne, ozdobione rzeźbionemi figurkami, w postaci dziwacznych świątków i pucołowatych aniołków.

Drogom na Huculszczyźnie należy się oddzielna wzmianka. Zdarza się, że . gdy „Czeremosz drogę zabierze", to na niektórych odcinkach Huculi nietylko towary, ale i wozy przenoszą na plecach. W każdym razie jazda wozem nie należy tu do przyjemności, zresztą w wielu miejscach wóz nie przedostanie się wcale, a wówczas jedynym środkiem lokomocji —poza własnemi nogami — są huculskie koniki. Osiodłane i objuczone worami paszy lub beczułkami bryndzy spotyka się tutaj co krok. Są one nieodłączną, składową częścią krajobrazu.

Samochód natomiast jest takiem dziwowiskiem, jak wielbłąd na ulicach Góry Kalwarii. Na wiosnę jechaliśmy z Kosowa do Żabiego. Młoda, ładna (one prawie wszystkie są przystojne i zgrabne) Hucułka po sfotografowaniu jej wzięła nieśmiało kilka cukierków i poprosiła o zgodę na małą przejażdżkę na stopniu automobilu. Zapraszaliśmy do wnętrza — bała się. Znać było, że ta krótka jazda sprawiła jej wielką satysfakcję. Bo, cóż tam własne nogi, choćby najbardziej krzepkie, cóż huculski, drobny i niepokaźny konik wobec tej maszyny!







Od granicy powiatów kosowskiego i nadwórniańskiego budowana obecnie szosa wkracza w dziewiczy, karpacki las. Kto chce zobaczyć prawdziwy pierwobór w nienaruszonym stanie, niech przyjrzy się tym ostępom, gdzie ponad zwarty gąszcz świerkowy wystrzelają potężne, niebotyczne drzewa omszałe — ojcowie lasu. U ich stóp chaos i walka o przestrzeń, o światło, o prawo do życia. Tu pokotem kładą się jedne po drugich pokolenia drzew, gniją, rozsypują się w próchno, porastają mchem, zawilcem i obfitolistnym podbielem, a z każdej wolnej piędzi ziemi już pnie się do słońca nowe, radosne życie.

I oto w tę głusz wdzierają się ludzie. Skrobią i zgrzytają po żwirze łopaty, chroboczą taczki, walą o kamienie młoty, drobiąc je na szuter dla szosy. Metr po metrze znika przepaściste, lepkie błoto, ustępując miejsca nasypowi, po którym z chrzęstem potoczy się, ugniatając, ciężki wał. A zanim wypadnie na dobrą szosę przy Ardżeludży, ujrzymy ostatni fragment walki człowieka z puszczą.

Gromada robotników - Huculów przekopuje przez puszczę rów, który odprowadzi z rowów zbyteczną wodę. Widzimy ich, bosonogich, obdartych, żylastych jak unurzani w błocie, wymoczeni w wodzie grzebią się w ziemi, kamieniach i między korzeniami obok stojących drzew. Zewsząd przesącza się, występuje woda, ale wkońcu posłusznie skieruje się tam, dokąd będą chcieli ludzie.

I będzie to jeszcze jedno zwycięstwo nad puszczą.

Jerzy K. Maciejewski.



WALASIEWICZÓWNA POWROCIŁA DO AMERYKI



Start Walasiewiczówny.

Dnia 19-go października odpłynął z portu gdyńskiego „Pułaski", uwożąc do Ameryki największy fenomen sportu kobiecego na świecie — Stasię Walasiewiczównę. Sympatyczna Stella Walsh, jak zwą ją w Ameryce, odjechała do obcych, aby pracować dla swoich.

Bo wyjazd Stasi do Ameryki ma na celu przygotowanie się do Igrzysk londyńskich i doprowadzenie swej formy sportowej do najwyższego poziomu, czego w Polsce nie mogłaby z wielu względów osiągnąć. Po pierwsze, noga jej po ostatnich perypetjach nie jest jeszcze zupełnie wyleczona, w Ameryce będzie można przyśpieszyć kurację zapomocą specjalnych masaży i naświetlań. Po drugie, aby podnieść swą formę sportową, „Walsh" musi startować w silnych konkurencjach, co może osiągnąć jedynie właśnie przez ten swój wyjazd. Po trzecie, Walasiewiczówna wierzy w jedynego trenera na świecie, dr. Griffina, który od początku kierował jej wychowaniem sportowem i potrafi ją przygotować do Igrzysk lepiej, niż ktokolwiek inny.

Takie są oficjalne powody, dla których Stasia porzuca nas obecnie, odrzucając cały szereg ponętnych propozycyj zagranicznych, w rodzaju wyjazdu wraz z Weissówną do Francji. Istnieją jeszcze jednak i motywy natury prywatnej: świetna ta sportsmenka jest i kochającą córką oraz siostrą, przeto chęć ujrzenia rodziny gra dużą rolę w jej zamierzonym wyjeździe do Cleveland. Przez czas swojego tam pobytu Walasiewiczówna obok własnego treningu zajmować się zamierza wychowaniem sportowem młodszej siostry Klary, która już obecnie, mając zaledwie lat czternaście, elektryzuje całą Amerykę swojemi sportowemi wyczynami. Ten świetnie zapowiadający się kobiecy talent jest niestety dla nas stracony, gdyż mała Klara jest obywatelką amerykańską.

Tu pozwolę sobie przypomnieć karjerę Stasi. Jako kilkuletnia dziewczynka emigruje z rodzicami do Cleveland, gdzie narówni z innemi dziećmi uczęszcza do szkoły amerykańskiej. Ponieważ nosi trudne do wymówienia imię „Stasia", nazywano ją „Stella". Koleżanki uważają ją za Amerykankę. Ale Stasia, pomimo zerwania kontaktu z ojczyzną, czuje się Polką. Ta polskość jest już czemś zupełnie świadomem po podróży na „Pewuka" (Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu, 1929 r.) z amerykańską wycieczką Sokołów. Tu, w Starym Kraju, „Stella-Stasia" osiąga pierwsze miejsce w zawodach sportowych i otrzymuje szereg nagród, za które jeszcze nie potrafi dziękować w języku ojczystym...

Do polskości przyznaje się Stasia oficjalnie przed słynnemi igrzyskami olimpijskiemi i zmienia obywatelstwo amerykańskie na polskie.

Natychmiast cała prasa Ameryki, która dotychczas głosiła dytyramby na cześć popularnej „Walsh", rozpoczyna kampanję przeciwko niej. Opinja publiczna ściga Walasiewiczównę, władze sportowe robią jej wszelkie możliwe utrudnienia. Stasia jednak pomimo tych szykan i utraty posady trwa dzielnie przy swojem. Lecz cała ta wroga kampanja odbija się silnie na jej nerwach. Znakomita fizycznie, załamuje się na Olimpjadzie psychicznie. Kilkakrotnie spóźnia się na starcie, nadrabiając potem morderczemi finiszami.

Pomimo to gwiazda jej błyszczy coraz mocniej. Po Olimpjadzie Polska ofiarowuje jej Wielką Nagrodę Honorową, stypendjum oraz miejsce w CIWF-ie. Nasza utalentowana rodaczka pracuje nad sobą intensywnie; jest młoda, silna, niewyeksploatowana, może w przeciągu najbliższych lat osiągnąć na setkę czas 11.6. To jej przepowiedział w czasie ostatnich wakacyj, które Stasia spędziła w Ameryce, jeden z najznakomitszych trenerów amerykańskich, dr. Griffin.

Ostatnie tygodnie pobytu Walasiewiczówny w Polsce to szereg rewelacyjnych sukcesów.

Dnia 20 września odbyły się w Poznaniu sensacyjne lekkoatletyczne zawody z udziałem trzech mistrzyń świata: Walasiewiczówny, Weissówny i Koubkovej (Czechy).

Zwycięstwa Stasi zelektryzowały 10-ciotysięczny tłum widzów. Przewaga jej była tak druzgocząca, że Koubkova, pewna swoich 800 m., po przegranej rozpłakała się. Jeden po drugim w tym dniu padają rekordy: 60 m. — 7,4 sek. (o 0,2 lepszy od poprzedniego), 100 m. — 11.8 sek. (o 0,1 lepszy od poprzedn.) i 800 m. — 2:10,4 (nowy rekord Polski). W skoku wdal Stasia zajęła również pierwsze miejsce, osiągając znakomity wynik 5,46.

7-go października w Katowicach, wprawdzie próba pobicia rekordu na 50 m. zakończyła się wskutek kilku falstartów jedynie wyrównaniem rekordu Mezlikowej (Czechy), jednak już na dystansie 80 m. Stasia poprawia poprzedni swój rekord o 0,1 sek., osiągając 9.8 sek. Prawdziwą sensacją dnia stał się jej pierwszy w życiu bieg na 1000 m., uwieńczony wynikiem 3:02,5, którym ustanawia nowy rekord świata (poprzedni 3:04,8 należał do Angielki Lynn).

Dnia 8-go października oczekiwaliśmy nowej sensacji: Walasiewiczówna zgłosiła bowiem do PZLA próbę pobicia rekordu w trójboju. Niestety, tym razem nie powiodło się tak świetnie. Został zaledwie wyrównany dotychczasowy rekord Sikorzanki — 190 punktów. Rzecz to jednak zrozumiała, gdyż Walasiewiczówna była niesłychanie zmęczona biegiem na 1000 m., który miał miejsce w Katowicach poprzedniego dnia. Każdy sportowiec po pierwszym swoim biegu na tym dystansie odczuwa nadzwyczaj silne bóle w łydkach. Stasia była tak „wykończona" pod tym względem, że fakt, iż mimo wszystko stanęła na boisku w niedzielę, poczytać jej można za dowód silnej woli i nadzwyczajnej wytrzymałości sportowej. Sama zresztą spodziewała się tego dnia, że wynik nie będzie taki, jakiego sobie życzyła i jaki byłaby osiągnęła w lepszej kondycji fizycznej.

W każdym razie w obecnej chwili Walasiewiczówna jest w posiadaniu 5 rekordów światowych; otrzymała ona Puhar na plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na najlepszego polskiego sportowca i jest uważana powszechnie za kandydatkę do Wielkiej Honorowej Nagrody Państwowej PUWF-u.

Życzymy naszej rodaczce szczęśliwej podróży i pomyślnej pracy nad sobą aż do czasu, kiedy na Igrzyskach Kobiecych w Londynie nowemi triumfami rozsławi imię Polski po całym świecie.

J. P.

ANDRZEJKI KIEDYŚ I DZIŚ

Jesienny zmierzch...

Listopadowy wiatr smaga nagie bezbronne gałęzie drzew. Pod jego chłostą ugina się i skarży ciemna lipowa aleja. Z sąsiedniej wsi dolatuje ujadanie psów, którym odpowiadają podwórzowe brytany.

Głucho, zimno, pusto...

W przestronnej izbie Chybickiego dworu trzaska wesoło ogień na kominku i gorącą pozłotą maluje pochylone głowy dziewcząt. W migocącym blasku usadowiły się zwartem kołem panny starościanki, respektowe i dziewki służebne. Prędko poruszają się igiełki hafciarek, sprawnie furkocą wrzeciona. Robota wrze...

Raz po raz wybucha dźwięczny śmiech splątany ze skoczną nutą piosenki, od której budzi się po kątach izby śpiące echo, a przepastny mrok za oknami nabiera jaśniejszych, weselszych tonów.

„Na świętego Andrzeja
Spełniona moja nadzieja
Bodaj się to sprawdziło
Co mi się dzisiaj śniło...

wyciągają cieniutko panny respektowe, a niestrudzony warkot kołowrotków przytakuje rytmicznie:

...tak ...tak tak ...tak —

Raptownie przycichły śpiewy. To z uroczystym szelestem robronów przesunęła się przez pokój starsza klucznica, panna Klementyna.

„Dzisiaj nie pora na zabawy, krzyknęła energicznie, jeżeli waćpanny pragną zacząć wróżenie zaraz po wieczerzy".

Prawda, wszak to wigilja św. Andrzeja. W odpowiedzi mocniej zaturkotały wrzeciona.

Jedynie Klarunia siedziała bezczynnie na małym zydelku koło krosienek siostry. Podparła się pod brodę i zamyślona patrzyła na tańczący płomień w kominku.

Co przyniosą Andrzejki?

Dopiero po raz pierwszy w tym roku panna Klementyna uznała ją za dosyć dorosłą do udziału we wróżbach andrzejkowych. Wiadomo, nie jest już dzieckiem, bo na 15 rok jej idzie i radaby z całego serca odsłonić ten rąbek tajemnicy, co przyniesie los za rok lub dwa. Czy zawsze sądzone będzie spędzać wieczory w tem roześmianem gronie prządek?

— O czem myślisz siostrzyczko? — zapytała Helenka.

— O Andrzejkach.

— Cierpliwości, za chwilę będzie wieczerza...

Ale zdawało się Klaruni, że zegar jak na złość ogromnie długo nie wydzwania godziny.

Prosząco popatrzyła na jego tarczę, aż stary przyjaciel z lat dziecięcych zrozumiał, o co chodzi młodemu dziewczęciu. Porozumiewawczo mrugnął do niej wskazówką i śpiesznie oznajmił 7-mą.

Na to hasło zerwały się prządki od pracy i zaczęło się gorączkowe sprzątanie izby.

Zaraz po wieczerzy miano lać wosk.

Wkrótce panna Klementyna, bezapelacyjnie uznana za wyrocznię i mistrza ceremonji w sprawach Andrzejek, przyniosła cynową miednicę, duży kawał pszczelnego wosku i kilka wierzbowych witek.

Nawet Jejmość pani starościna na usilne prośby nowicjuszki Klaruni raczyła się zainteresować Andrzejkami i zjawiła się w izbie.

Ale wróżby rozpoczęto od czego innego. Panienki pozdejmowały pantofelki z lewej nóżki i w przestrzeni od komina do drzwi ustawiały je jedna za drugą. Czyj zjawi się pierwszy na progu, tej wesele jeszcze w karnawale się odbędzie. Tak pod bacznym wzrokiem panny Klementyny wędrowały atłasowe trzewiczki starościanek i panien respektowych na przemiany z chodakami służebnych.

„Franka dostawiaj bliżej, bo się wróba liczyć nie będzie...

„Maryś, nie twoja teraz kolej...

Pielgrzymka bucików zbliżała się do celu. Nagle rozległ się radosny pisk Klaruni: mój, mój, ja zwyciężyłam. I z radości na jednej nodze zaczęła się kręcić w kółko. Jejmość pani uśmiechnęła się łaskawie i pogłaskała jej rozpłomieniony policzek.

— Tak ci pilno opuścić Chybicki dwór, córeczko?

Jedynie klucznica z niezadowoleniem przyjęła wyrok wróżby. — Zamiast Klaruni starszej powinno tak wypaść — szepnęła.

Potem wróżono z talerzy i panienki wyciągały kolejno wyrok Andrzejek. Radosne krzyki witały pierścionek, śmiechy towarzyszyły wydobytej rutce, symbolowi staropanieństwa. Helenka znalazła różaniec.

— Och—zawodząco jęknęła klucznica — musowo starsza panienka zostanie ksenią. — I cichutko dodała do otoczenia wybranych respektowych: — Tak, tak, na dziewiętnasty rok już się pannie obróciło, a męża nie widać. Źle...

Klarunia popatrzyła na wiszące na ręku siostry paciorki i odbiegła ją cała odwaga. Ale towarzyszki nagliły.

— Odważnie, Klarko, przecież jedna wróżba przychylna ci była — zachęcała siostrę Helenka.

Kilka razy dotykała młodsza starościanka talerza i cofała trwożnie rękę. A nuż tam rutka przepowie staropanieństwo? Wreszcie ostrożnie odchyliła środkowy i odetchnęła z ulgą. Z pod białej przykrywy błyszczało kółeczko obrączki...



Teraz zaczęto lać wosk. Z małego rondelka spływał strumyk roztopionego wosku i przez witki trzymane na krzyż zastygał w wodzie. Wówczas zapalono łuczywo i panna Klementyna z namaszczeniem objaśniała fantastyczny cień na ścianie. W niewyraźnych jego konturach doszukiwała się różnych postaci i przedmiotów, a otaczające ją dziewczęta z zapartym oddechem słuchały jej słów, wchłaniając każde drgnienie szarej plamy.

„Najwyraźniej młot. Maryś za kowala pójdziesz"...

„Hanusi się ulał kwiat, żoną ogrodnika zostanie"...

Ruchom Helenki przyglądała się ze specjalną uwagą. Cień zakrzepłej bryły wykazywał ni to szopę ni dom...

„Klasztor", plasnęła w dłonie panna Klementyna. Nic innego tylko klasztor i w dodatku klucznica może w nim rozpoznać pomieszczenie Sióstr Sercanek z niedalekiej okolicy.

— Oj, panno Heleno!...

Klarunia z grozą patrzy, jak niefrasobliwie przyjmuje siostra ten wyrok. Teraz ona w drżące ręce ujmuje tygielek.

Co takiego wyszło? Na ścianie porusza się postać z patykiem i z głową, jakby z cukru. „Ma szczęście Klara, oznajmia klucznica, jaki srogi rycerz w hełmie i z mieczem jej się udał. I dodaje w proroczem natchnieniu: „Andrzejki zawsze prawdę mówią. A nie przepowiedziały to przed trzema laty



zamążpójścia pannie Marcysi? Jeszcze w zapusty wesele się odbyło...

Rycerz przyjedzie po Klarunię! — ...O Boże...!!!

Wszyscy patrzą na zarumienioną dziewczynkę. „Jeszcze kilka latek upłynie przed tem porwaniem“, żartuje pani starościna.

Ta uwaga nie tłumi szczęścia Klaruni. Błyszczącemi oczami spogląda z dumą po rówieśnicach. Przecież jej jednej z całego grona ulał się rycerz z mieczem!!!

Skończono wróżby i dziewczęta porozchodziły się do zwykłych zajęć. Pomagając pannie Klementynie schować wosk, słucha Klara jej dalszych wywodów na temat Andrzejek. „Są jeszcze inne sposoby wróżenia — mówi stara klucznica. — Panna, która chce zobaczyć oblicze swojego przyszłego, powinna ustawić przed zwierciadłem zapaloną świecę. O północy gdy kur zapieje, ukaże się w niem postać narzeczonego“.

„Jabym się bała“ — zauważyła ze śmiechem przyszła kseni.

Wkrótce stary dwór omotała cisza snu, jedynie świerszcze za kominem przygrywały pierwsze melodje nadchodzącej zimy. W małej bokówce podniosła głowę Klarunia i obserwowała miarowy oddech siostry. Śpi.... Cicho jak myszka przysunęła się do lustra i zapaliła stojącą obok świecę. Spojrzała. Dziecinna jeszcze buzia okołona dwiema strugami jasnych warkoczy wyjrzała do niej. Dwoje niebieskich oczów pod ciemnemi brwiami bada zimną powierzchnię lustra. Wzrok Klaruni prosił, błagał, ale zwierciadło pozostało niewzruszone i ani jeden promień nie rozjaśnił przyszłej doli panny starościanki.

Wiele, wiele lat upłynęło od tej chwili...

Elektryczne światło białą falą zalało pokój i wypłoszyło nawet z najdalszych zakamarków swojego wroga — mrok.

Ostatnie płomienie wygasły na staroświeckich kominkach.

Gromadka młodych dziewcząt pochylona nad miednicą, pełną wody, śledzi kształty stygnącego wosku. Czas skrócił długie warkocze panienek i przemienił je w krótkie wygodne czupryny. Podniósł nieśmiało opuszczone rzęsy, i rozkazał źrenicom nieustraszenie patrzeć w napotkane przeciwności.

Płynie złoty wosk wraz ze słowami objaśnienia:

„Patrzcie, cień na ścianie pokazuje samolot... Basia zostanie sławną lotniczką i podbije wszystkie dotychczasowe rekordy...“

„Krysi wylał się zupełnie dom. Pewno to będzie pierwszy gmach, który wybuduje“....

„O, postać na koniu! Marysiu, to nieomylny znak, że osiągniesz pierwsze miejsce na konkursach hipicznych....“

Przyjaciółki podszeptują ukryte marzenia i w ich postacie oblekają niewyraźną grę cieni....

Klaruniu, z główką nabitą jedynie marzeniami o swoim rycerzyku, cobyś robiła w tem gronie hardo się przebijającem przez zawiłości XX wieku?

Biały dwór Chybicki rozszerzył swoje ściany i zaczął obejmować niemi coraz szersze kręgi zagadnień życia, aż wreszcie zamknął w sobie cały świat. A w nim, po różnych drogach, w różnych zawodach, śmiało kroczą dawne prządki i hafciarki.

Zdziwił się jednak niepomiernie dumny żyrandol elektryczny impertynencją wyrządzoną mu w późną noc Andrzejkową. Oto przed starodawnem lustrem, cudem zabłąkanem w nowoczesnem mieszkaniu, zapłonęła mała, licha świeczka. Pod wpływem znajomego blasku ocknęło się z wiekowego snu zwierciadło prababki. Odbita twarzyczka młodej dziewczyny wydała mu się zupełnie obcą i niepodobną do postaci z jego epoki. Ale błysk oczu, starających się przeniknąć tajemnicę wielkiego jutra, przywołał skryte w głębi sczerniałej tafli inne spojrzenie, te z przed stuleci. I na jeden moment obraz młodej sportsmenki przemienił się w oblicze Klaruni z Chybickiego dworu.

Cała kultura, cywilizacja nowoczesnego człowieka, wszystkie podboje świata fizycznego, sił przyrody i wynalazki, któremi się pyszni — stają bezsilne wobec rozwiązania problematu przyszłości choćby na przeciąg jednej sekundy.

Stare zwierciadło milczało....

Hanna Kalina Muszyńska.

KURJER DEKADOWY Nr. 11

10.XI.—20.XI. 1933 r.

Obchód święta niepodległości

W 15-tą rocznicę odzyskania niepodległości Warszawa przybrała świąteczny wygląd. Ulicami przeciągają tłumy, biało-czerwone chorągwie, kwiaty, girlandy zdobią miasto. Poprzedzona uroczystem nabożeństwem w katedrze Św. Jana, rozwinęła się przed Marszałkiem Józefem Piłsudskim wspaniała rewja na polu mokotowskiem. Wódz, przepasany błękitną wstęgą Virtuti Militari, w szarej legjonowej maciejówce, odbierał osobiście defiladę. Entuzjastyczny był moment, gdy samochód jego, ostatni przybył na mokotowskie pole. Spontaniczny, potężny okrzyk publiczności i wojska, do burzy jakiejś radosnej podobny, powitał Marszałka. O, nie był to okrzyk zwyczajem nakazany — ale krzyk tysięcznych piersi, co wszystko naraz chciały powiedzieć — jak im jest drogi. I jeden był tylko w tym okrzyku przymus — przymus serca.

Odsłonięcie pomnika poległych peowiaków dłóta E. Wittiga.

W dniu 10 listopada nastąpiło odsłonięcie pomnika, pięknego w swej prostocie, poświęconego pamięci poległych członków Polskiej Organizacji Wojskowej (P. O. W.), powołanej do życia jeszcze w roku 1914 przez Marszałka Piłsudskiego. POW., którego zadaniem było prowadzenie akcji wojskowej na terenie dawnej Kongresówki, ten konspiracyjny kopciuszek, który obok Legjonów Polskich pracował wytrwale z ukrycia nad budzeniem sił narodu do zbrojnego czynu, piękną ma kartę w historji Polski. Odsłonięty pomnik wzniesiony jest ku czci tych, co zginęli na tajnym posterunku, bądź padli w szarych szeregach legjonowych.

Książka polska zagranicą.

Dzięki inicjatywie p. min. Jadwigi Beckowej zorganizowana została niezwykle ciekawa i pouczająca wystawa książki polskiej zagranicą. Wystawa ta zgromadziła przeszło 2000 tomów, zawierających przekłady w 27 językach z 30 krajów. Na pierwszem miejscu posiadanych przekładów poza Rosją carską (428) stoi Czechosłowacja (394), Francja (281), Niemcy (256), wreszcie Włochy (186).

Wystawa ta wzbudziła powszechne zainteresowanie, a najcenniejszym jej dorobkiem jest katalog, doskonały wskaźnik na przyszłość dla naszej propagandy, a nieodzowny [illegible].

Zamknięcie Uniwersytetu.

Od 26. października Uniwersytet Warszawski pozostaje zamknięty. Przyczyną zamknięcia tej uczelni były krwawe zajścia, jakie rozegrały się na jej terenie, wywołane podburzeniem młodzieży akademickiej przeciwko nowej reformie akademickiej przez [illegible] Uniwersytet został zamknięty na czas nieograniczony, gdyż dopiero z chwilą całkowitego uspokojenia wzburzonych temi pożałowania godnemi zaj[illegible] w normalnej i spokojnej atmosferze może być podjęta dal[illegible].

Polska Akademja Literatury.

Dnia 8. listopada, w pięknie przybranych salach prezydjum Rady Ministrów, odbyło się uroczyste otwarcie Polskiej Akademji Literatury w obecności najwyższych dostojników Państwa i licznie zgromadzonych gości. Piękne przemówienie o celach i podstawach Akademji wygłosił prezes Rady Ministrów p. Janusz Jędrzejewicz, witając uroczyście pierwszych jej członków. Do grona pierwszych akademików polskich wchodzą dwaj poeci Leopold Staff i Bolesław Leśmian — dwaj autorzy dramatyczni Karol Rostworowski i Jerzy Szaniawski — dalej powieściopisarze w liczbie sześciu Wacław Sieroszewski, jako prezes Akademji, Wacław Berent, komedjo i powieściopisarka Zofja Nałkowska, Piotr Choynowski, Juljusz Kaden Bandrowski, Zenon Przesmycki (Miriam), dwaj krytycy Karol Irzykowski i Tadeusz Boy-Żeleński, publicysta Wincenty Rzymowski, prof. Tadeusz Zieliński i prof. Juljusz Kleiner.

Zjazd Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet

29. października rozpoczęły się 5-dniowe obrady zjazdu. Przybyło nań ponad 800 delegatek, oraz przeszło 2000 członkiń z całej Polski. Związek ten, istniejący zaledwie od 1928 roku, poszczycić się może już dziś niezwykle bogatemi wynikami swej pracy. Działalność jego skupia się prawie w 1000 oddziałów dookoła spraw: wychowania obywatelskiego, opieki nad matką i dzieckiem, spraw kobiecych, wytwórczości gospodarczej, kultury i piękna, prasy, spraw zagranicznych, emigracyjnych, kół młodych i sekretarjatów do spraw wiejskich. Związek obejmuje obecnie 90.000 członkiń, a miarą jego żywotności może być fakt, iż w samem tylko województwie Warszawskiem posiada on 220 świetlic, żłobków, punktów opieki nad matką itp., gdzie prowadzi dożywianie 20.423 dzieci. W pięciu obozach letnich Związku bawiło w roku ubiegłym ponad 1000 bezrobotnych dziewczyn.

Obniżenie taryfy kolejowej.

Od dnia 1. stycznia ma wejść w życie nowa obniżona taryfa kolejowa. Różnica cen biletów wynieść ma naogół 25 proc., przyczem ulegnie również redukcji dotychczasowa dopłata do pociągów pośpiesznych. Taryfa IV kl. ma być zastąpiona przez taryfę podmiejską. Pozatem nastąpi wydatne obniżenie taryfy kl. I., i wprowadzenie turystycznych biletów powrotnych.

Druga rata pożyczki państwowej.

Jak było do przewidzenia II. rata pożyczki Państwowej wpłynęła w określonym terminie, sięgając do 25 miljonów złotych, wobec czego przewyższyła oczekiwania.



Rys. 4.



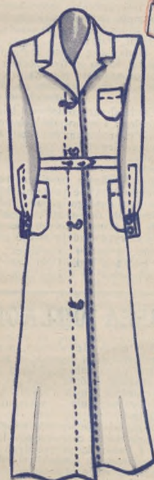


Rys.

Rys. 3.



Rys. 5.



Rys. 1.

WASZE MUNDURKI

Opis patrz strona 14



Rys. 6



Rys. 7.

WASZE MUNDURKI

Niewątpliwie wszystkie musicie się liczyć z rozporządzeniem, dotyczącem wprowadzenia mundurków. Wobec tego przy kupowaniu czegoś nowego koniecznie trzeba stosować się już do nowych rozporządzeń.

Przy pracy w szkole obowiązywać was będzie fartuch z czarnej satyny, osłaniający cały mundurek (rys. 1). Fartuch zapina się na cztery guziki, ma dwie dolne kieszenie nakładane i jedną górną i ściśnięty jest paskiem. Rękaw koszulowy, zakończony mankietem, zapiętym na dwa ciemne guziki. Kołnierz mały, wykładany, na który nakłada się drugi biały, przyszyty w ten sposób, żeby go było łatwo odpruć do prania. Najlepiej jest mieć kilka kołnierzyków na zmianę.

W szkołach zawodowych i przy pracy warsztatowej mogą nosić uczenice białe lub jasne fartuchy, tym samym krojem i chusteczki na głowie.

Mundurek składa się ze spódnicy i bluzki. Spódnica ciemno-granatowa, wełniana, układana dokoła w fałdy, na przodzie ułożona jest w kontrafałdę szerokości 12 cm. (rys. 2). Do takiej spódnicy nosi się bluzkę wełnianą ciemno-granatową (najlepiej uszyć ją z materjału spódnicy, pozostawiając wszystkie ścinki, które przydadzą się na naprawianie rękawów).

Bluzka (rys. 2) jest luźna, wszyta w pasek, zakończona małym, wykładanym kołnierzem. Zapina się na trzy guziki i ma z lewej strony małą, nakładaną kieszonkę. Rękaw koszulowy, wszyty w mankiet, obramowany wypustką w barwach szkoły i zapięty na dwa guziki. Na wysokości ¾ lewego rękawa umieszczona jest tarcza barwy szkoły, obrzeżona srebrną nitką. Na tarczy wyhaftowany srebrem numer szkoły. W szkołach zawodowych oprócz numeru litera typu szkoły. Guziki przy bluzce z białego metalu.

Na uroczystości i okres letni obowiązuje bluzka z płótna lnianego w kolorze naturalnym (rys. 3). Fason taki sam jak poprzedniej, z tą różnicą, że zamiast guzików u góry bluzka związana jest na kokardkę w barwach szkoły. Mankiety zapinają się na dwa guziczki z perłowej masy. Na rękawie na wysokości ¾, obramowana nitką barwy szkoły, znajduje się tarcza o polu barwy płótna, z numerem. W szkołach zawodowych oprócz numeru jest litera typu szkoły, a wszystko wyszyte nitkami w barwach szkoły. Do tych mundurków obowiązują ciemne pończochy, na lato ciemne skarpetki. Na zimę trzewiki sznurowane ciemne, na niskich obcasach lub półbuciki czy też pantofle na jeden pasek, również na niskich obcasach. W okresie letnim wolno uczenicom nosić obuwie płócienne w dowolnej barwie.

Jako okrycie głowy obowiązuje beret ciemno-granatowy z odznaką metalową z blachy tłoczonej. W szkołach zawodowych niezbędna jest litera typu szkoły (wymiar 28 mm. jak dla uczniów).

W okresie letnim mogą nosić uczenice kapelusz płócienny krojem harcerskim (rys. 4) zrobiony z płótna lnianego, w kolorze naturalnym. Obowiązująca jest odznaka metalowa z blachy tłoczonej a w szkołach zawodowych — odznaka typu szkoły (28 mm.).

Płaszcze są ciemno-granatowe, proste, z paskiem, jednorzędowe (rys. 5). Dwie nakładane kieszenie, gładki rękaw, zakończony nałożonym mankietem, obramowanym wypustką barwy szkoły. Kołnierz wykładany. Na lewym rękawie na ¾ wysok. tarcza barwy szkoły, obramowana srebrną nitką z numerem, także srebrną nitką wyszytym. W szkołach zawodowych, oprócz numeru, litera typu szkoły.

Zimą do palt wolno nosić futrzane kołnierze (rys. 6 i 7), szale it. p. A także popielate swetry.

BRATNIE DUSZE

Mam lat wiele, bo aż 15. Koleżanki twierdzą, że jestem wesoła, a przedewszystkiem (co wysoko cenią) doświadczona. Mamusia jest zdania, że jestem roztrzepana. Czasem jestem dobra, czasem zła, zależnie od humoru i okoliczności. Oprócz tego mam: własne zdanie, bujną fantazję i całą moc projektów, które podobno są ciekawe. Lubię: marzyć, pisać i malować, tańczyć i deklamować. Kocham: „Świat Dziewcząt" i wszystko co piękne, a w szczególności sztukę dramatyczną. Jeśli która z współczytelniczek „Świata" zlituje się nad moją stęsknioną duszą do Bratniej Duszy, to napisze do Hanki Kwiatkowskiej z Poznania, ul. Plac Nowomiejski 10-a, a ja, jeśli zechcę naturalnie, napiszę jej jeszcze dużo o sobie. Ściskam Was drogie dziewczątka i proszę o odpowiedź.

Hania.

P.S. Muszę zaznaczyć, że z pasją lubię obserwować ludzi.

H.

Hallo! Dziewczynki, może która z Was zechce do mnie napisać. Mieszkam nad morzem, mam 16 lat i chodzę do szkoły. Kocham morze, „Świat Dziewcząt", sport i wogóle wszystko, nienawidzę płaczu i chorób. Jestem wesoła. Jeżeli która z Was zechce do mnie napisać, to proszę listy początkowo kierować do Redakcji. A teraz czekam na odpowiedź.

„Wiaterek od morza".

P.S. Chciałabym koniecznie korespondować z wesołemi i zdrowemi dziewczynkami, bo sama nie chorowałam już 5 lat. Mam chyba patent na zdrowie.

W. O. M.

Lidka z Krakowa prosi za naszem pośrednictwem wszystkie czytelniczki o prace nad rozwojem naszego pisma „jedynego w Polsce pisma dla dziewcząt". Chciałaby, aby przysyłały do pisma interesująco opracowane tematy i wypowiadały swoje zdanie.

Oburącz, a nawet „czworącz", podpisujemy się pod tem Lidko! Na krzyżówki dostaniesz odpowiedź w dziale „Rozrywek".

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIA

„Świat Dziewcząt" Nr. 17 (z dnia 10 czerwca 1933 r.).

SZARADA

Nad—cho—dzi już zie—lo—ny kar—na—wał.
Nadchodzi już zielony karnawał.

Tym razem nie popisały się jakoś nasze Czytelniczki! Na ogólną ilość 42 rozwiązań, *ani jedno* nie było trafne! Rozwiązania brzmiały przeważnie: *Przechodzi już zielony karnawał, Przemija już zielony karnawał, Gdy mija już wesoły karnawał* etc., etc., choć z treści szarady łatwo było wywnioskować, że podane warjanty absolutnie nie „sztymują". Zatem nagroda w postaci wartościowej książki nie przypadła nikomu i oczekuje na bardziej uważne osóbki...

„Świat Dziewcząt" Nr. 19 (z dnia 20 września 1933 r.)

REBUS

Yak Kuba Ob (wspak) gut K (wspak) Bug Q b je.
Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

SZARADA

Czy—taj—cie Świat Dziew—cząt
Czytajcie „Świat Dziewcząt".

ARYTMOGRAF

FrancJa, PortugAlja, RumuNja, Szwajcarja, ŁOtwa, Bułgarja, Irlandja, NorwEgja, Szwecja, PolsKa, HIszpanja — JAN SOBIESKI.

Trafne rozwiązania powyższych zadań nadesłało 69 Czytelniczek (wykazu imiennego z braku miejsca nie podajemy) — nagrodę w postaci wartościowej książki wylosowała — *Irenka Wichlińska z Poznania.*

„Świat Dziewcząt" Nr. 20 (z dnia 1 października 1933 r.)

SZARADA I

Klej—no—ty War—sza—wy
Klejnoty Warszawy.

SZARADA II

Pra—ca po—pła—ca
Praca popłaca.

Trafne rozwiązania powyższych zadań nadesłało 65 osób. Nagrodę (książkę) w drodze losowania przyznano *p. Wandzie Borkowskiej z Łodzi.*

Wobec otrzymanych kilku reklamacyj prosimy wszystkie nasze nagrodzone Czytelniczki, które dotąd nie otrzymały przyznanych im nagród, o powiadomienie nas o tem do *dnia 10 grudnia 1933 r.*, podając imię, nazwisko i dokładny adres.

P. „Anitę" z Warszawy — prosimy o podanie nazwiska i adresu do wiadomości Redakcji.

ENCYKLOPEDJA

37) *Mustafa Kemal Pasza*, po zdetronizowaniu sułtana (1922 r.) prezydent Republiki Tureckiej, wielki patrjota i znakomity mąż stanu, przeprowadził w swojej ojczyźnie szereg ważnych reform i uzyskał tytuł „Gazi" (zwycięzca) i „Halaskiar" (oswobodziciel).

38) *Traktat w Sevres*, podpisany w roku 1920 przez wysłannika sułtana z państwami aljanckiemi. Traktat ten wyznaczył Turcji granice, których naród turecki nigdy nie chciał uznać.

39) *Traktat w Lozannie*, zawarty w roku 1923 przez wysłannika Kemala Paszy, Ismet Paszę. Traktat ten przyznał Turcji granice, wywalczone przez jej armję.

40) *Angora* albo *Ankara*, stolica Republiki Tureckiej.

41) *Hedżira*, początek ery muzułmańskiej (622 rok) — ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny. Kemal Pasza zniósł w roku 1922 kalendarz muzułmański i zaprowadził gregorjański.

42) *Medresse*, duchowna szkoła muzułmańska, zniesiona przez Kemala Paszę.

NASZA OKŁADKA

Te dwie młode dziewczyny, pomimo niedzisiejszych strojów i uczesań, są nam bliskie i zrozumiałe przez zabawę, której oddają się z całym zapałem. Któraż z nas nie zabawiała się... puszczaniem baniek z mydła, patrząc na ulatujące tęczowe kule — marzenia, miraże, złudy młodości.

Zbliża się właśnie wieczór wróżb, wieczór św. Andrzeja, kiedy dziewczęta z lanego wosku, igieł i świeczek, puszczanych na wodę, będą wyprowadzać wnioski co do swojej przyszłości. I dwie dziewczyny z naszej okładki zdają się patrzeć w tę przyszłość niewiadomą. Moment doskonale uchwycony przez współczesną nam malarkę, Górską, której obraz reprodukujemy. Uderzy nas w nim niewątpliwie archaizacja strojów. Pia Górska rozmiłowana jest w epoce wczesnego renesansu włoskiego i na tę epokę chętnie stylizuje swoje postacie. Jest to malarka o dużej kulturze artystycznej. Jej obrazy są pełne umiaru, niewymuszonej wytworności, łagodnej harmonji barw. Nieraz te barwy gubią się w pastelowych wypieszczeniach nawet tam, gdzie technika olejna pozwala na wydobycie bogatej gamy kororystycznej.

W ostatnich pracach Pii Górskiej znika coprawda ten brak odwagi w wyzyskaniu własnych możliwości. Porzuca wzory muzealne, znajduje własną drogę bezpośredniego wypowiedzenia się malarskiego. Te z naszych Czytelniczek, które odwiedzają czasem Zachętę i Ips, niewątpliwie zwróciły uwagę na zbiorowe wystawy jej prac. *S. P. O.*

HALLO! HALLO!

NASTĘPNY NUMER

„ŚWIATA DZIEWCZĄT"

przyniesie: Młodzież współczesna — Panienka z przed stu laty, Po nową sławę, Iljas, Obozy pracy, Inscenizacja, Filmy dźwiękowe, Ślizgawka Serwetka na Gwiazdkę, Czar skrzydeł, Bratnie Dusze, Encyklopedja, A teraz porozmawiamy.

GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

— Niechże pan się zgodzi, powtórzyła tak stanowczym i nieugiętym głosem, że to aż uderzyło Durand-Gardel'a. — Nigdybym nie odważyła się prosić o coś podobnego, ale pan sam obalił moją powściągliwość... Niechże pan powie tak! Zaklinam pana. Czuję się na siłach wytrwać aż do końca i dokonać tego, czego się podjęłam. Czyż moje nazwisko, moje godło nie są już same przez się wróżbą powodzenia?

.....W błękity zawsze kieruj skrzydeł biel!"

To przecież nie jest bez znaczenia! Proszę mi wierzyć, panie szefie... Za tem wszystkiem kryje się jakieś przeznaczenie. — My, rycerze powietrza hołdujemy niejednemu przesądowi... Częściej i silniej, niż inni, skłonniśmy wierzyć w fetysze, zwiastuny szczęścia i tajemne wpływy pewnych przedmiotów. — Jest to słabostka, której ja nie podzielam. Musi pan jednak przyznać, że owe sześć słów, w czasie, gdy król Franciszek I wpisywał je wokół tarczy Jehan'a Bel du Colombel, posiadały jakieś tajemnicze znaczenie. Dlaczego, obdarzając herbem i godłem korsarza, nie wypisał raczej: *„Ku morzu zawsze kieruj żagli biel!"* zamiast *„W błękity"* i *„skrzydeł biel!"* Dlaczego gwiazda, ponad skrzydłami? Nie wiedząc zgoła o tem, swą królewską dłonią Franciszek I nakreślił łuk mego przeznaczenia! Trzeba poddać się nakazowi przeszłości. Trzeba usłuchać tego potężnego głosu, który już cztery wieki przygłuszyły milczeniem. Należy wierzyć, jak ja w to wierzę, iż byłam zgóry upatrzona, by wypełnić znaczenia mego rodowego godła, by rozpostrzeć w błękitach naszych skrzydeł biel, by ujarzmić los złowrogi, odzyskać fortunę i chwałę, by — wreszcie — zdobyć swoje własne szczęście za cenę zwalczonych niepowodzeń!

— I za cenę własnego życia, być może! dodał cichym głosem inżynier.

Widząc zaś, że Janka milczy, podjął znowu:

— Niech pani przypomni sobie, o czem kiedyś mówiłem: niebiosa są oceanem bez granic! Mają one swe rafy, swe burze i swe bezruchy, wielkie cisze i straszliwe orkany. Ale niema w nich przystani zacisznych, otwartych portów lub bezpiecznej zatoki. Niema wysp szczęśliwych na pustynnych bezkresach. Upadek aż nazbyt często kończy się śmiercią... Śmiercią okrutną, w strachu, w rozpaczy, czasami w płomieniach! Nieraz pomimo wszystko wychodzi się z życiem z tej opresji. Ale za jaką cenę? — By obnosić po wsze czasy swą szpetność, swą ułomność, swe kalectwo...

Dotknął szramy na swej twarzy i zakończył ciszej:

— Wiem coś o tem... Gdyby moja żona nie była świętą, nigdyby nie wyszła za mnie. — I Piotr prawie naraził swe życie. A pani, Janko, stokroć będzie na śmierć narażona.

— Więc cóż! rzekła mocno i spokojnie, godzę się na te zapasy ze śmiercią.

Znów na nią spojrzał, uderzony stanowczością tych słów.

I nagle doznał jakby olśnienia.

To nie była już Janka, którą rok temu widział w biurach Zemomier'a. To nawet nie była już dziewczyna, którą przed sześciu miesiącami sprowadziła z Nantes Kormorana I. A jednak już w owej chwili pod pozorami młódki, zajętej igraszką sportową, jawiła się „Wielka Łowczyni"... Teraz była to Diana we własnej osobie, dostojna bogini, o profilu wyniosłym, głębokich oczach i mięśniach z gibkiej stali, Diana w pełni krzepkiej sprężystości, swej boskiej siły, Diana o wielkiem, bohaterskiem sercu, opancerzona potrójnym śpiżem pod piersią z marmuru.

Wstrząsnął nim nagły dreszcz...

Czyż ta dziewczyna o woli niezłomnej, szlachetnem sercu i wielkiej duszy, która już pokonała ogień, śmierć i żywioły, nie była tajną wysłanniczką Boga?

Bezwiednie prawie wypowiedział:

— Jeśli Piotr się na to zgodzi, Janko, powierzę pani Kormorana.

Nazajutrz — w przeddzień wielkiego odlotu — gdy Janka, po codziennych ewolucjach, zmieniła właśnie strój i opuszczała kabinę z wielkiem wzruszeniem, spostrzegła zbliżającego się Fernanda.

— Nie mogłem przybyć wcześniej, zauważył młodzian po przywitaniu, musiałem udać się w swe rodzinne strony, do domu, by uspokoić i pocieszyć moją biedną mateczkę... Myśli z przerażeniem o moim odlocie i zaledwie zdołałem jej wytłumaczyć, że nie jestem w stanie wyrzec się tych zawodów.

— Czy nie zamierza pani dziś odwiedzić Piotra?

— Właśnie się tam udaję... odparła dziewczyna.

— Pozwoli pani chyba, bym jej towarzyszył? spytał po chwili wahania.

— Oczywiście, Fernandzie... Niech pan jedzie ze mną.

Razem opuścili lotnisko.

Janka ujęła za kierownicę, prowadząc ze zwykłym spokojem.

— Biedny Piotr! zauważył Fernand... Jakiż to cios musi być dla niego... Zostać jeszcze przed startem wycofany z zawodów, to pech prawdziwy. Teraz, o ile ja tylko nie złamię sobie karku jeszcze przed lotem Londyn — Berlin — Moskwa, nie widzę już żadnych przeszkód, Janko, na drodze do naszego ślubu.

Gdy go słuchała, źrenice jej znieruchomiały i tylko szczęki zwarły się mocniej nieco.

Twarz jej nagle jakby zamknęła się w sobie i skamieniała w twardej zaciętości.

— Czy nie jest pani tego samego zdania, kochanie? dokończył Fernand lekkim tonem.

— Nie ma pan chyba zamiaru, odparła, powoływać się na ważność układu, zawartego między nami?

— Dlaczegożby nie? zapytał z głuchym [illegible]

— Siła wyższa zmusza Piotra do wycofania się z zawodów, a tem samem moje zobowiązanie staje się nieważne — zauważyła młoda dziewczyna z pewną oschłością.

— Inaczej się na to zapatruję! — ton Fernanda był ostry i nieustępliwy.

— A więc? spytała Janka.

— A więc, jeśli Piotr nie stawi się do odlotu, uważam, że powinien być uważany za działającego wbrew umowie.... oświadczył Fernand z zimnym spokojem.

— Jak widzę, obawia się pan nie na żarty? — wtrąciła, przygryzając wargi.

— Tak! — odparł naiwnie. — Bo na swym Kormoranie II, najlepszym z całej serji, co, mówiąc między nami, nie było tajemnicą dla papy Durand-Gardel'a — był w stanie zdobyć czołowe miejsca w większości etapów, i tem samem osiągnąć najlepszy czas ogólny. O ile nie stanie do zawodów, rozgrywka odbędzie się tylko między nami.

— To nie jest szlachetne, Fernandzie. — Na pańskiem miejscu Piotr...

— Na mojem miejscu, jeśli panią kocha istotnie, postąpiłby tak samo...

— Obstaje więc pan przy zamiarze domagania się ode mnie, bym wywiązała się z danego słowa?

Fernand skinął głową.

— Nie inaczej, Janko. Kocham panią zbyt gwałtownie, by dać swemu rywalowi możność odzyskania jej na nowo.

— Nie mówmy już o tem! przerwała Janka, zbliżamy się do Paryża i muszę skupić całą swą uwagę.

— Zgoda. — Czy chcesz pani, bym wziął kierownicę?

— Nie.

Aż do samej kliniki nie zamienili już ze sobą słowa.

Klemens Durand-Gardel siedział u wezgłowia swego syna...

Uśmiechnął się do wchodzącej Janki i lekko zmarszczył brwi na widok Fernanda, którego Piotr przyjął bolesnym uśmiechem. Obydwaj młodzieńcy zamienili uścisk dłoni.

Piotr świeżo ogolony, obandażowany, nie wyglądał już tak źle, ale jego spieczone wargi, blada twarz, oczy podkrążone i rozgorączkowane zdradzały dość wyraźnie wzburzenie umysłu i bolesny zamęt ducha.

— Jak tam dziś ze zdrowiem, Piotrze? — spytała Janka.

— Dziękuję... czuję się lepiej... Ale... ja... nie pozwolę by pani poleciała zamiast mnie. Janko... Jestem temu bezwzględnie przeciwny. A nawet proszę panią, by wogóle nie brała udziału w zawodach — dodał, spoglądając na Fernanda.

Spojrzenie jego, głębokie i palące, pełne było jednocześnie nienawiści i bólu.

— Jakto? Nie rozumiem pana! — zawołała dziewczyna, zdruzgotana i osłupiała.

— Czyżbyś obawiał się, że cię wyneguję z jej serca? — rzucił Fernand, na którego spojrzenie Piotra podziałało, jak smagnięcie biczem.

— A dlaczegoż nie miałbym się obawiać? Stoję poza nawiasem zawodów, wiem o tem, niezdolny do wzięcia udziału w starcie... Mam jednak nadzieję, że nie będziesz chełpił się zrządzeniem losu, jakie mię z nóg zwaliło, by zwrócić sobie prawo do zwycięstwa? — zawołał Piotr głosem, nabrzmiałym niepokojem i gniewem.

— Nasz układ był ważnym od dnia, w którym został zawarty — odparł Ferdynand. — A zatem...

— A zatem, postąpisz wbrew najelementarniejszym zasadom honoru, jeżeli zamierzasz zmusić Jankę do wywiązania się danego przyrzeczenia! uniósł się ranny.

— Piotrze! — zawołał Fernand pobladły, z trudem panując nad sobą. — znieważasz mnie.

— Uspokój się, mój synu! — szepnął Klemens Durand - Gardel, nie rozumiejący zgoła tej nieoczekiwanej sceny, której nagłość i gwałtowność napełniły go zdumieniem.

— Pozwólcie mi przemówić, Piotrze i Fernandzie! — ozwała się zkolei Janka. — Zdaje się, że i ja mam głos w tej sprawie.

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem wszyscy trzej.

— Fernand nie taił przede mną, iż żąda spełnienia danej mu obietnicy, — rzekła dziewczyna. — Ma on słuszność, twierdząc, że nasz układ ważny był od dnia, w którym został zawarty. Myli się jednak, uważając pana, Piotrze, za wycofanego z obiegu i przypisując sobie już zawczasu prawo do wawrzynów zwycięzcy.

— Co pani chce przez to powiedzieć? — zapytał Fernand.

— Ślubowaliście walczyć o me barwy, jak Hugo Bel du Colombel i Gombault de Combourg ślubowali pięknej Athenais. — Wszak prawda?

— Istotnie! — powiedzieli jednogłośnie.

— Urządzamy zatem turniej... Otóż między rycerstwem ongiś istniała zasada, że ten, którego siła wyższa zmuszała do opuszczenia szranek, mógł sobie upatrzeć zastępcę, - obrońcę, tak zwanego towarzysza orężnego. Piotr zatem ma prawo powierzyć obronę swej sprawy, temu, którego uważa za najgodniejszego. Ma potemu prawo niezaprzeczone!

Na wargach Piotra zjawił się uśmiech przelotny.

— Ale komuż powierzę tę świętą sprawę? — rzekł, potrząsając głową. — Przed chwilą, ojciec i ja, zrobiliśmy przegląd tych, którzy ubiegają się o zaszczyt prowadzenia do zwycięstwa Kormorana II...

Spojrzał na Jankę i zamilkł po trwożnem westchnieniu.

(C. d. n.)

FILMY WESOŁE





Wiemy, że lubicie się śmiać. Któżby, zresztą, nie lubił? Przecież „śmiech — to zdrowie". Mówiąc między nami, lubicie się śmiać nawet bez właściwego powodu, co jest zupełnie naturalne, gdy się ma lat no, powiedzmy ...naście. Źródło radości nosi się wtedy w sobie, nie trzeba go szukać nazewnątrz. Ale mimo to nie pogardza się żadną zabawą, a więc i filmami, które w zasadzie zostały stworzone, ażeby zabawić osoby dorosłe, trochę przygaszone, zmęczone życiem, które już nie umieją śmiać się z „byle czego" i którym potrzebna jest do tego specjalna podnieta. Wspominam o tej różnicy między publicznością młodszą a starszą, dlatego, ażeby przekonać się, czy dwa wyświetlane obecnie filmy, o których tu będzie mowa, wywołują u was te same reakcje, co u osób dorosłych. Czy uważacie je za zabawne, czy wam się podobają i jaki rodzaj humoru przypada wam najwięcej do gustu?

Zacznijmy od filmu polsko - czeskiego „Dwanaście krzeseł". Pomysł scenarjusza zaczerpnięto z powieści rosyjskiej pod tym samym tytułem. Chodzi o skarb ukryty w jednem z 12 krzeseł, zapisanych w testamencie pewnemu fryzjerowi z Pragi czeskiej przez ciotkę, zamieszkałą w Polsce (Te kombinacje polsko - czeskie były konieczne wobec tego, że główne role grane są przez znanego komika czeskiego Vlastę Buriana i polskiego — Dymszę, a więc djalogi muszą być w 2 językach). Krzeseł tych, które zostały rozsprzedane różnym osobom, poszukuje po całym kraju nietylko spadkobierca, ale jeszcze kilka osób, co wywołuje szereg komicznych sytuacyj, zresztą nie zawsze [illegible] (Mac Fric i Waszyński). Dużo scen przypomina farsy amerykańskie, np. scena z kranem, z którego woda nie leci, kiedy powinna, a gdy nikogo niema w domu — zalewa całe mieszkanie; albo — scena z niedźwiedziem w wagonie, kiedy sytuacja przed wjazdem do tunelu wygląda zupełnie inaczej niż po wyjeździe z niego. Kilka scen jest potraktowanych już zbyt naiwnie (ukazanie się Buriana i Dymszy na seansie spirytystycznym). Ale jest tu kilka scen bardzo dobrych jak nprz. licytacja (bohaterowie myśląc, że licytują owe cenne krzesła, podbijają cenę... wózka dziecięcego i muszą go nabyć). Pomysłowe jest wyzyskanie dźwięku w groteskowej scenie, kiedy Burian i Dymsza nie mogą się dogadać w żadnym języku, a z chwilą gdy zaczęli gwizdać, odrazu się porozumieli.

Pod względem gry aktorskiej na pierwsze miejsce wysuwa się Dymsza, którego talent jest oryginalniejszy od talentu Buriana. Kto widział Buriana kilka razy, wie zgóry, że będzie on bardzo zabawny, ale jeszcze raz taki sam, jak zwykle, albowiem stworzył sobie pewien typ, który stale powtarza. Gdy tymczasem Dymsza posiada niezliczone sposoby urozmaicenia każdej roli, pomimo to, że żadna z jego dotychczasowych ról filmowych nie dała mu pola do popisu i stworzenia jednolitego typu.

W sumie do zalet „Dwunastu krzeseł" zaliczyć można scenarjusz, nie tak banalny, jak w innych komedjach polskich, dobrą ilustrację muzyczną — i udział 2 wybitnych komików, do wad zaś — niedość staranną reżyserję i, miejscami zbyt rozwlekłe tempo.

Zupełnie inny rodzaj humoru reprezentuje film, w którym główną rolę gra... niemowlę, nie mające jeszcze roku. Wprawdzie reklama wysuwa jako siłę atrakcyjną Morysia Chevalier'a ale to tylko dlatego, że mały „Monsieur Baby" był dotychczas nieznany i odtąd napewno stanie się groźnym konkurentem najulubieńszych „gwiazdorów". Dziecko nie jest tu dodatkiem do filmu, jak to często bywa, lecz osią wokół której kręci się cała akcja. Malec został podrzucony. Szofer pewnego lekkomyślnego młodego aryżanina znalazł go w samochodzie swego pana. Początkowo Moryś (bo on jest owym panem) chce oddać dzie-[illegible] do domu podrzutków, jednakże już po kilkugodzinnej „znajomości" tak się do malca przywiązuje, że wkońcu go adoptuje i żeni się z przyjętą do dziecka „nurse'ą", która go ujęła swą miłością dla podrzutka. Dziecko to wyzwoliło ukryte w młodym człowieku, napozór tak lekkomyślnym, uczucia ojcowskie i rodzinne i wpłynęło na całkowitą jego przemianę. Humor tej komedyjki polega właśnie na kontrastach między sytuacjami, jakie stwarzał dotychczasowy tryb życia Morysia, a temi, jakie wywołuje pojawienie się w jego domu niemowlęcia (nprz. wizyta młodej pary podczas kąpieli dziecka, albo oczekujące Morysia panie, z któremi się umówił, podczas gdy on sam asystuje przy usypianiu malca; przyjazd do narzeczonej z dzieckiem i t. p.). Pozatem jest tam jeszcze dużo zabawnych „kawałów", wypływających z nieumiejętności obchodzenia się z dzieckiem, zarówno pana, jak lokaja, przy chęci zabawienia go za wszelką cenę (scena z zegarkami).

Ponieważ wiadomo, że dziecko w tym wieku, nawet najgenjalniejsze, nie może „grać" świadomie swej roli, stworzenie nam tego złudzenia jest całkowitą zasługą reżysera, który poszczególne momenty zachowania się dziecka umiał sfotografować w odpowiedniej chwili i zastosować do treści akcji. Moryś musiał się pewnie też niemało napracować, zanim się „zgrał" z tak niezwykłym partnerem. Pod względem muzycznym najlepiej wypadła piosenka Morysia na spacerze, która jest pobudką do chóralnego śpiewu. Wszystkie piosenki zresztą są ładne, szkoda tylko, że nie śpiewane są w języku francuskim, coby było bliższe charakteru filmu.

Ponieważ przy Stowarzyszeniu Miłośników Filmu Artystycznego „Start" powstaje obecnie Sekcja Młodzieży, której zadaniem między innemi będzie organizowanie specjalnych pokazów dla młodzieży, pożądane byłoby poznanie gustów tej publiczności. Dlatego też prosimy czytelniczki „Świata Dziewcząt" o dzielenie się z nami swemi wrażeniami filmowemi, czy to w formie listów do Redakcji (dział filmowy) czy w formie artykułów, przeznaczonych do „Naszego Seminarjum".

Przecież współpracujemy ze sobą!

St. H.

KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. FOTO-CHEMIGRAFICZNYCH TOW. WYD. „BLUSZCZ"

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 12—. półrocznie — zł. 7.— kwartalnie — zł. 3.50; miesięcznie — zł. 1.30.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy, szerokość 1 łamu 52 mm, 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, tel. 2-44-18; Tow. Reklamy Międzynarodowej Sp. z ogr. odp. Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogłoszeń, Senatorska 29; „Ruch" Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrkowska 50; Poznań: Polska Agencja Reklamowa „Par", 27-go Grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Redaktorka: Zofja Popławska. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03. **Konto P. K. O. Nr. 18.800**
Redaktorka przyjmuje we wtorki od 4 do 5, czwartki od g. 5½ do 6½.
Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 5-87-03.